12 stron

Cena 8 zł

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 10 marca 1946 r. | Nr 10 (67)

FRANCISZEK GIL

Żniwo wielkiej reformy

Ziemia, ziemia...*)

„...a więc teraz nadszedł czas tego nowego ustroju rozdzielenia tej ziemi..."
Wójt Słociny, 17 października 1944.

Daleko i szeroko ciągnęła się ta ziemia. Ludzie mówili o niej „dworskie", „pańskie". Nie wstrzymywany sadami ni domami wiatr szedł tu szeroko: zboża klękały i wstawały. „Łany" były pańskie, koło cmentarza — do „przylasku" — było księże, a tu było chłopskie. Tak była podzielona ziemia, którą poznaliśmy razem z matką i tak było podzielone nasze życie.

Ziemia była tu życiem.

Kto miał grunt, ten liczył się we wsi za „gospodorza", miał posłuch w urzędzie, „obirali" go radnym do gminy, albo i sołtysował we wsi. Do miasta jeździł wozem, w kościele siedział w ławie, na procesjach nosił chorągiew, a bywało, że i baldachim trzymał nad księdzem idącym z Panem Bogiem. Ten na każde święta i odpusty sprawiał dzieciom nowe ubrania i trzewiki, dawał sobie w mieście wprawić na samym przodzie złote zęby, chował parobka, albo i jeszcze dziewczynę.

Kto nie miał ziemi, ten chodził na „pańskie" do żniwa, do kopania kartofli, do kmieci do młócenia. „Wiesną" kopał w skale kamienie, albo szedł tłuc na gościniec. Trochę takich robiło w mieście przy betonach, parę dziewcząt chodziło do cegielni. Reszta szła służyć do miasta, albo jechała do Francji. Nikt nie chciał dziewczyny, która nie miała pola. „Kto by jo wzion, jak nimo gruntu..." kiwali ludzie głowami, a dziewczyna „starzała się", zostawała „tercjorką". Córki „bogoczy" i kmieci „przebirały" znowu długo, nie wydawały się „za bodej kogo", czekały, żeby był z gruntem, albo jaki kształcony. „Bogocz" chodził na kawalerkę z „bogoczem" i po wszystkich wsiach szukali dziewczyny z majątkiem, z dobrym gospodarskim obejściem. „Bogoczki" jechały do ślubu w osiem albo dziesięć fur, chudobnym i na dwie ciężko się było zebrać. Po „bogocza", jak umarł, ksiądz wychodził do rynku — „bidnego" i pokropić nieraz nie było za co. Ludzie skamęcili na jadle grosza, żeby dokupić „grontu", zaorywali łąki i pastwiska — wychodziło z tego jeszcze trochę ziemi. Syn bił ojca, jak mu nie chciał zapisać ziemi i bił, jak już zapisał, jak niesposobny do nijakiej już roboty — „chlot za darmo". Trochę chłopów powracało z Ameryki i ci mieli najlepsze gospodarstwa we wsi, pokupowali najlepsze grunta, postawili najładniejsze zabudowania. Krewni tych, co zostali w Ameryce, dostawali jeszcze w listach dolary, ale dobrego gruntu nie było gdzie już nabyć i dzierżawy nawet dostać nie było skąd. Przychodziły listy z Brazylii, z Parany — tam było dużo ziemi — nie każdy znów kwapił się tam jechać — choć Ameryka nie wpuszczała już prawie nikogo: szyfkarty przychodziły jeszcze tylko tym, co tam byli urodzeni, co mieli „obywatelstwo" i ojciec mój „wypisywał" już tylko „papiery" do starostwa — na wyjazd do Francji. Mawiał potem zawsze, że najlepiej to jeszcze kawałek gruntu, że chciałby jeszcze przed śmiercią uskładać pieniędzy i kupić bodaj dwie mordżyny pola: „nie daj Boże wojny, jak odbiorą pensje, zawsze miałybyście gdzie przyjechać i jako przebidować".

Wojny przechodziły. Starzy ludzie opowiadali przy młócce o austriackiej i jeszcze o tamtej — „pirszej" austriackiej wojnie, kiedy służyli po dwanaście lat i „w infanterii" szli do ataku. Gdzieś tam w świecie rządy zmieniały się, nastawały „nowe", ale tu wszystko układało się tylko podług ziemi i tylko ziemia mogła zmienić życie ludzkie.

Z gruntem mogła dziewczyna wyjść za mąż za kogo chciała, za drugiego „z gruntem" albo ze szkołami. Na gruncie mógł wychować krowy, konia, świnie, z gruntu — było z czego wziąć na okrywkę, na młynek, na firanki do okien, na rower i harmonię. Jak „mioł grunt", to nie musiał chodzić do roboty „na pańskie", do młócenia i kopania u kmieci i „nie godoł" z dziadami. Nie przezywali go „lasokiem", „dziadem sakramenckim", miał za co założyć „śpiwki i grania", jakie tylko „chcioł" — jemu tylko cięgiem grała muzyka na zabawie.

Z dawien dawna więc procesowali się tu ludzie o ziemię. W niedzielę szli do kościoła, a w dzień powszedni do sądu. W parafii było trzech księży, pięciu sędziów i jedenastu adwokatów. Chłopi mieli swoich „hadukatów" i „hadukaci" swoich chłopów. U każdego adwokata pisało parę panien z miasteczka po trzydzieści złotych na miesiąc, a kto „pisał u adwokata", ten już prędzej mógł coś poradzić, był tu wyższej rangi: chodziły tedy te panny na „dziewiątkę", na tę mszę, na którą uczęszczało „samo państwo", choć u niejednej nie doszukałby się żadnych „szkół". Z ojca na syna, z matki na córkę wstępowali tu ludzie w procesy o „część", o „równy spłat". I nie o ten akurat kawałeczek ziemi chodziło, bo adwokaci więcej kosztowali niż ten zagon: — dziesięć takich by kupił: — ale o to, żeby „łón" nie dostał, ten drugi. Żeby **nie wygrał procesu o ziemię.**

Głosowali tu ludzie jeszcze na rozmaite partie, co obiecywały parcelację, chłopom ziemię; we wybory przystawiali drabiny do okien kancelarii gminnej: pilnowali na zmianę, czy ich nie oszukują tam w komisji, czy nie chowają gdzie ich głosów; chodzili po wiecach i święcili sztandary. Ale kiedy ziemi z tego nie było — przestali. I starzy po dawnemu wymawiali sobie grunt w dożywocie, a synowie bili ich, żeby prędzej pomarli.

Nie mogli doczekać się ziemi.

W jesieni tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku przyszła ziemia. Kto żył na wsi — wie, że ziemi znikąd nie można przysłać. Przyszedł „czas tego nowego ustroju rozdzielenia tej ziemi" — przyszła reforma rolna. W niejedną wojnę wiele zmieniało się na wsi: jeden i drugi nie wracał; jak wsią szedł front — spaliło się parę chałup, pozabijało trochę ludzi. Ale „bogocz" zostawał „bogoczem", „bidny" „bidnym" i dzieci ich tak samo. I ziemia była tu zawsze ta sama: ziemia chłopska i pańska.

A teraz zmieniała się ziemia, zmieniało się życie.

Dziś już im to było nie w głowie. Jakże przedziwnym językiem mówił do mnie ten chłop! „Trzy tysiące ma kosztować linia, — od numeru w gromadzie — a tysiąc od każdej lampy. Dałbym z miejsca, żeby nie smarować i nie kopcić. I gotowałby, wszystko... wygoda bracie jak fras! Teraz zakłada Boguchwała i Zwięczyca... Niczem jeszcze dojdzie do nas... cholewa, po kolei idzie gromadami". O, nie był to postępowiec ani „radykał". Nie należał do żadnej partii. Gdybyście znali jego „myśl polityczną", nazwalibyście go na pewno reakcjonistą. Ale działo się tu coś dziwnego. Zawsze we wakacje mówiliśmy o koniach. Miał najpiękniejsze konie we wsi. Nieraz wiozły nas te konie do miasteczka. A dziś chłop mówił językiem szklanych domów! Nie cieszył się już końmi. Piękne kare konie, które tak lśniły po kąpieli w rzece, które lekko „podcięte" tak pysznie szły przez wieś — to nie był już jego świat. Stał na jakimś rozdrożu. Ręce zwarte jeszcze od lejc, wyciągały się już w powietrzu jak ramiona masztów; dłonie jak gdyby dzierżyły już elektryczne sznury, które jemu — pierwszemu we wsi — doprowadzą wygodne, jasne światło: jego — pierwszego we wsi — uwolnią od śmierdzących baniek nafty, od zakopconych szkieł, od „rozjarzania" pod kuchnią, od mokrego drzewa, sadzy i popiołu.



Kościół św. Jadwigi w Pszczynie na Górnym Śląsku, wystawiony przez polskich cieśli w XVI wieku, spalony w r. 1939 na skutek działań wojennych. Jeden z wcześniejszych przykładów „gotycyzacji" budowli sakralnej, czego znamieniem są smukłe proporcje kościoła, zaostrzony hełm dzwonnicy i liczne szczegóły wnętrza.

Jakże żenowały, tu, na miejscu, te dziecinne pomyłki!

Umiałem tylko pytać o parcelację, a oni mówili o elektryfikacji! Jakżeż szybciej zmieniła ich ziemia niż nas, wyrosłych na tych polach i w tych domach, ale przez inne światy wyłączonych z ich przemian. Rok 1939 był ostatnim, kiedy mieliśmy wspólny, od dzieciństwa niesiony język: konie, kantary i odpusty. Teraz często nie rozumieliśmy się, my urobieni w innym podziale społecznym elektryczności i techniki, my starzy i oni nadchodzący właściciele lampy elektrycznej. Dwory stały po dawnemu, tylko śnieg padał już teraz przez puste, wydarte okna do pałaców. Tylko grzbiety szop i stajen dworskich były poprzetrącane, krokwie i łaty gniły na pół zwalone. We wsi wspominali czas reformy tonem tamtych wakacyjnych odpowiedzi na przypadkowe pytania o kogoś, kogo tu już dawno pochowano: „hhy — z rok bedzie jak pomar — co, nie wisz..." — i więcej nie „nazywało" się tego człowieka: nie było o czym mówić, skoro już nie żył. O lampach elektrycznych mówił drugi i trzeci chłop.

Dla mnie było to dziwne i nowe, a w nich dojrzewała już gotowość na przyjęcie w swoj dom elektrycznych przewodów: dla nich było to już proste i naturalne — gromadzkie. Ten sam chłop, który mówił o lampach, w drodze ze mną z pogardą patrzył na walącą się stodołę pańską. Chciał kupić z niej dachówkę. Kryć swoją stodołę tak jak pańską. Kto tu myślał jeszcze o słomianych strzechach!

Nikt prócz inteligentów.

Jesień 1944 roku była najoczywiściej ostatnim czasem, do którego jako tako dotarliśmy razem. Ostatnie dni przed parcelacją ostatnim punktem zaczepienia. Naiwne próby zastąpienia starej pocztówki nową, z zamalowanym dworkiem, już w pierwszych dniach odwiedzin rodzinnej wsi po reformie przyniosły wstydliwą konsternację, niepewność. Akwarelkowe wzorki naszych wyobrażeń o przemianach krajobrazu dzieciństwa nie były zdolnym odbić cokolwiek zwierciadłem. My, synowie tej ziemi, wieźliśmy tam po latach nową pocztówkę i stare myśli, wyobrażenia starej treści społecznej, którą żegnaliśmy ongiś na odjezdnym. A tymczasem — pocztówka prawie wcale się nie zmieniła, tylko od reformy rolnej, od dni, kiedy komisje gminne szły do dworów po klucze, zaczynał się chłop nowy. Chłop, który czekał kiedy inżynier wbije w jego pola maszty elektrycznych przewodów; któremu przez głowę nie przechodziło, żeby kryć dom i stodołę słomą; który biedny czy bogaty, przestawał chodzić do lasu „na patyki" — jeździł do Rzeszowa po węgiel; o którym Żmuda mówił, że „dałby całego siebie w robociźnie", żeby tylko jego dzieci miały szkoły, żeby „kształcone" szły „do światu".

Więcej niż pięć szkolnych pokoleń uczył ojciec mój w tej samej wsi i przy końcu trzydziestu siedmiu lat swej nauczycielskiej służby stał tam, gdzie zaczął: chłop dalej widział więcej pożytku z pasienia krów przez syna niż z tych tam szkół. Żeby czytać i podpisać się umiał — „co mu ta po wiency na wsi" — tak latami targowali się na posiedzeniach rad szkolnych miejscowych o wydatki gminy na szkołę. Chłop nie widział, żeby dziecko jego mogło użytkować ze szkół — „to i na co płacić". Woleli dać na drogę. Wszystko szło na darmo: i przedstawienia organizowane przez nauczycieli i biblioteki i odczyty. Nie trafiało jakoś nigdzie, podziewało się gdzieś bez śladu.

Nie rozumieli nauczyciele, nie rozumieli zapaleńcy odczytowi, co z tymi wsiami. Wszystko, co robili, spływało jak woda — wieś nie zmieniała się. Nikt nie chciał sobie inaczej urządzić życia ani gospodarstwa. Chłop nie wierzył w hodowlane i higieniczne nowinki. I po parunastu latach nauczyciele dawali zwykle spokój: przestawali wygłaszać odczyty. Wyrzekali na „okolicę", na „nieużytych lu-

*) Por. „Chłopskie gimnazjum w hrabskim pałacu" w nr 64 i „Nowy los chłopskiego dziecka" w nr 65 „Odrodzenia".

dzi", gorycz słów o „najgorszym powiecie" była ostatnią furtką ideowego odwrotu w spokojniejszy, zrezygnowany żywot, w zacisze pasiek koło szkół.

W tych pasiekach niewielu z nich dożyło już reformy rolnej. Jeszcze mniejsza garstka przeszła jej ogień razem z chłopami. Nawet codziennym aktorom społecznych przemian pocztówkowe bielmo nie szybko schodziło z oczu: spierali się tu ludzie, kto najpierwszy wpadł na pomysł chłopskiego gimnazjum we dworze. Jakże ludzkie były te spory działaczy niesionych na fali rewolucji, nie pamiętających, że przed reformą rolną nigdy nikomu przez głowę tu nie przeszło, że w tym pańskim pałacu może być gimnazjum dla chłopskich dzieci.

Rozwalenie dworu, rozwalenie szlacheckich barier, duszących gospodarcze i kulturalne możliwości rozwojowe życia chłopskiego, barier przesądem strzechy i stanowym odcięciem dalszych możliwości społecznych zatrzymujących to życie w anachronicznej, akwarelkowej pocztówce, wnosiło nowe elementy w chłopską świadomość: elektryczne kuchnie, „czarne diamenty", gimnazja i urzędy dla dzieci.

Nie było „pana". Wszystko to, co przede wszystkim przysługiwało „panu", co „pańskie" życie czyniło wyższym i doskonalszym, było im dostępne. Skoro nie było już żadnego „wyższego" pana, skoro we wsi nie było już „wyższego nad chłopów" dworu, nic nie świadczyło, że te wyższe szkoły, urzędy i lampy elektryczne, tak jak zawsze bywało — należą się wpierw tylko tamtym ludziom. W miejscu pustych, rozwalonych dworów była pozorna próżnia, a w istocie obszar olbrzymiej przemiany, która coraz szybciej, coraz spieszniej wciągała najodleglejszą wieś.

Nie dla wszystkich chłopów starczyło ziemi. Prawo do niej miała tylko gromada, w której obrębie leżał majątek. Gimnazja, urzędy, przewody i lampy elektryczne — zapowiadały wyrównanie podziału. Zapowiadały dalszy ciąg ziemi, dalszy ciąg reformy rolnej dla nienadzielonych i nadzielonych, fazę, którą miała określić już nie ilość pańskich hektarów, ale różnorodność i szybkość postępu technicznego. Tak jak dalszym, codziennie już od parcelacji sprawdzalnym ciągiem i konsekwencją reformy rolnej była władza polityczna chłopów.

Władza, która przeszła swą ogniową próbę i skrystalizowała się w parcelacji pańskich majątków, w ogniu rewolucji rolnej i którą tu w powiecie widać było najlepiej.

JULIAN PRZYBOŚ

PRZELOTY

Wzdłuż Wisły

Mówiłem krajobrazami, marzenia powierzałem równinom,
widok za widokiem niespełniony płynął.
Dziś na mapie widzenia rysuję granice.

Z samolotu — z utrwalonej w skrzydłach chwili —
widzę:
kraj od gór śląskich sam sobie się wyśnił,
przechylił,
wyśnił Wisłę do morza.

Rzucę w przelocie jak w siewie spod chmur — widnokręgi
zieleniami ku Wiśle!
Siew okolic — do Polski tak naocznej dojrzał,
że tkliwe wyciągnięcie ręki —
to Mazowsze,
ręka u oczu —
Warszawa...

Lecz radość rozlewna zawsze
przybliża się morze
i oddal otwiera się jaśniej,
unosi mnie, kartografa
wyobraźni,
samolot — plama na słońcu.

Kołysanka

Skończyłem lot i jest mi jakbym się zaczynał
od wierzchołka brzozy w powietrzu...

Jeszcze ważę tę ulotność — a już leci
z rączkami wcześniejszymi naprzeciw,
w świetle, dużym jak na wyrost, co dzień inna...
— jesteś także córką jutra, jutrzenką.

Mijając wiatr, czeszę lekko
zapomniane w twoich włosach światełko,
świeci dłużej, poza wieczór...
— córeczko,
w niebo wzięła na moich rękach!

Posadzę cię, pokołyszę — niżej: w tarczy słonecznika.

„PROWADZILI GO JAK MESYJOSZA..."

Jeszcze w jesieni przeczytałem w którejś gazecie sprawozdanie — że przemawiał. Wicestarosta. Mógł to być tylko on: z rocznika tysiąc dziewięćset dziesiątego któregoś, z młodego, licznego pokolenia działaczy ludowych, ale nielicznego — „wiejskich intelektualistów", co latem chodzili do kmieci do żniwa, do późnej jesieni kopali kamienie i dopiero w zimie mogli „zapisać się do biblioteki". Różne to były biblioteki: dalekie wypożyczalnie w Rzeszowie, „staroświeckie" ubożuchne księgozbiory w miasteczku, książki posiadane przez nauczycieli i księży — chodzili wszędzie i czytali co popadło. Nie było w czym wybierać. Zima mijała szybko, a latem nie było czasu wziąć książki do ręki. Chłop walił się wieczorem spać i zapominał o świecie bożym. Pierwszy raz zapamiętałem go w ostatniej, siódmej klasie u ojca. Należał do tych, którym nie sądzone było nawet marzyć o wyrwaniu się ze wsi. Nie tacy — po gimnazjach i seminariach nie mieli się jak wyratować, zostawali „ni dziadem ni panem". Uniwersytet Gacki był jedyną dostępną mu jeszcze szkołą: zimą, co niedzielę nosił sobie żywność, ścieżkami na Marię Magdalenę. Tam spotkałem go w ciągu parodniowego pobytu. Po raz pierwszy od amatorskich przedstawień we wsi, od czasu, kiedy ze śmiesznymi, lepkim mastyksem pachnącymi brodami wypadaliśmy na korytarz, ujrzeliśmy się na nieoczekiwanym dla nas, dorosłym tle Ilekroć przyjeżdżałem potem na wakacje, ścieżkami na „działy" przychodził do mnie po książki i gazety. Wyliczał zawsze, co ma u siebie, cieszył się, że także może mi pożyczać książki. Skupował je łapczywie, ten „lasok z Wólki", kmiecy „żęczorz" na lato i robotnik w skale. „Rozdroże" Dąbrowskiej otrzymuje jako nagrodę na konkursie redakcji „Przysposobienia Rolniczego" za opracowanie pt. „Opis mego życia, prac, przemyśleń i dążeń, 1937—1938". Jest to czas strajku chłopskiego, dwadzieścia sześć zaledwie lat od chwili ostatniej raty „kmiecej pańszczyzny", spłacanej w kwocie dwudziestu dwóch „ryńskich" przez jego ojca. „Rozdroże" jest nagrodą za opisanie tej ostatniej, kmiecej formy pańszczyzny, czasu, w którym dziad jego — „komornik" wypłaca się już kmieciowi, nabywcy pól i zamieszkałych na nich „lasoków" Ostrowskich od pana. „To jest rok mojego urodzenia" — tłumaczył mi jednego wieczoru. „Ale później zawsze tak było, że należeliśmy do roboty do Szury Walentego. Nie wyobrażał sobie, że mogę nie przyjść do żniwa, do kopania, albo pójść gdzie indziej — albo po prostu ze wsi do miasta. Niech Ostrowski jutro przyjdzie — posyłali po mnie. Jedzenie dawali, ale żebym mógł zatańczyć z taką jego córką na zabawie — to nie było możliwe. Nie poszłaby z takim dziadem".

Urzędował w tym samym starostwie, do którego ze stu kilkudziesięciu chłopami wezwano go po strajku chłopskim i odprowadzono do kryminału. Był zwierzchnikiem tego samego urzędnika, który wówczas spisywał z nim protokół; urzędnik nie pamiętał, a on mu nigdy nie przypominał. Przyjmował kmieci, którzy, mijając go na drodze, podcinali konie. Wysłuchiwał spraw chłopów, którzy przejeżdżając obok jego sąsiadów na rowerze po krzykiwali — „niech jutro Michał przyjdzie do żniwa" — i pedałowali dalej, wiedząc, że mają jeszcze jednego „pewnego" żęczarza. I witał kolegów, z którymi wczesną wiosną boso zaczynał chodzić na robotę do skały, a potem do magazynu żelaznego w Rzeszowie.

Dużo już nasłuchałem się o tym jego „urzędowaniu", ale ciągle jakoś trudno było go złapać. Chłopi uprzedzili mnie na samym początku, żeby nie iść tylko we wtorek i w piątek. „Tak przy sobocie, poniedziałku, albo we środę — najlepiej: to se ta z nim pogodosz". On sam także zapowiadał we wsi, żeby nie we wtorek i piątek — jak „tak po znajomości". „Czasu wtedy nima i urzędowania dużo". Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że był zastępcą powiatowego pełnomocnika PKWN do spraw reformy rolnej. Że był przy śmierci rzeszowskiego latyfundium. Aż w niedzielę przed świętami Pola wyszła do mnie na ganek: „Pan starosta będzie dzisiaj u pana. Szedł do domu. Przyjechał pod szkołę autem. Pierwszy pięknie się przywitał. I pytał o pana. Powiedział, że przyjdzie o trzeciej".

Nie szanowano mnie tam bardzo. Tak z dalekiego pokrewieństwa. Nie pracowałem nigdzie w żadnym urzędzie, nie miałem żadnej „legitymacji" i nie widać było, żebym jechał na jaką posadę. Od tego popołudnia zmieniło się. Znalazłem się w kręgu czci dla pana „starosty", w kręgu zachwytów: „Taki bielinki, wypasiony, a tak powolutku se chodzi. Taki grzeczny..."

W ciemnej, wiejskiej chałupie odpadły od niego wszystkie przez wyobraźnię chłopki dodane atrybuty władzy; nie był ani „bielinki", ani „wypasiony" Był tylko żywszy i gładszy, ale zarazem poważniejszy. Bardziej opanowany Wydało mi się, że każdą sprawę mierzy i ocenia przed wypowiedzeniem jej. Ile przyjemności dawała obserwacja tego pełnego poważnej świeżości procesu intelektualnego, tego unikania potocznych „godek". Ale we wsi nie było jak z nim rozmawiać. Przychodzili tu znajomi i nieznajomi chłopi, których sprawy były za długie do „obgodania" w urzędzie. A czasem w ich mniemaniu i w ich próbach „za poufne". Nie chciał mnie puścić, ale widziałem, że nic z tego nie będzie. Choć nie cenił bardzo tych „powojennych" przyjaciół — za wielu ludzi prosiło go na święta.

„Przyjdź pan do starostwa, to panu wszystko pokażę na mapie powiatu i opowiem... pójdziemy do Urzędu Ziemskiego, tam są te pisma z czasów parcelacji... Temu krowę zatrzymali we dworze, ten robił u pana trzydzieści trzy lata i nie dostał niczego, ten znowu pytał, co robić z żoną pana, czy może zostać w gminie... Tam najwięcej się pan dowie, ten naczelnik to mądry chłop... razem z nim robiliśmy to wszystko".

Wyglądałem go jeszcze nazajutrz. Obiecał, że wpadnie. Ale nad wieczorem znajomy sąsiad machnął tylko ręką koło płotu: „szkoda czekania! prowadzili go jak Mesyjosza do Borku... pewnie na gościnę. Filipy. Te, co im dał z parcelacji ziemię".

Pod mapą w starostwie spotkaliśmy się długo później, po kilku jeszcze świętach. Poprzedniego dnia, na Trzech Króli, wybrałem się do jego domu pod debrzę, odnieść jakąś książkę. W ciasnej, wtulonej w obręcz horyzontu chałupce siedziało dwoje dziewcząt, córki „kmieci". „Starościna" poprawiała zabawki na drzewku. Mąż nie przyszedł na wieś. Dziewczęta opowiadały o zabawie ostatniej nocy w „kancelarii": „tak jak nigdy, z każdego domu prawie byli z gospodarzy i tańcowali z dziewczętami — jeszcze nie było tak: dawniej, jak już gospodarz, to nie chodził". „Starościna" przechwyciła mój lekceważący, miejski uśmiech, godny tej „wielkiej", wsiowej przemiany. Napoczęła melodramatyczną wymówkę: „ale ileż to tragedyj proszę pana pociąga za sobą w sercach ludzkich!" Dziecko znów zaszeleściło rączkami w gałązkach. Dziewczęta, jakby nie mogąc doczekać się mojego odejścia, wstały i objęły „starościnę". Kolejnym pocałunkiem prosiły, panna młoda i drużka, żeby przyszła na wesele, „ino żeby nie pogardziła". i ze starostą. Córki kmieci szły w „działy", do lasoków, prosiły tę biedną kobietę z Brzezówki, „żeby nie pogardziła". I starościna, którą tyle razy gardzono, nie gardziła.

Zagadnąłem go o to pod mapą powiatu. Uśmiechnął się: „dużo mam teraz przyjaciół". Naprzeciw siedzieli „niedokończeni" jeszcze w swych urzędowych sprawach chłopi. Jedni na głośne „ty", drudzy na „obywatelu", trzeci na cichsze „panie". Baby kłaniały się od czasu do czasu spódnicami, podawały pisma, których nie umiały wytłumaczyć. Starosta był **swój.** Pod oknem stukała maszyna. Szyby przecinał maszt, na który dawniej, w chwili gdy starosta podawał chłopom rękę w poczekalni, wciągano chorągiew. Chorągiew wisiała do dwunastej i chłopi wciąż brali w swe ręce rękę starosty. Dwie godziny trwała przed gmachem wciągnięta na maszt chorągiew. Po parę minut słuchał każdego starosta, wpisywał się taki chłop i wypisywał z audiencjonalnej książki. Ale w życiu chłopskim niewiele to pomagało, że w chwili, kiedy podawali rękę staroście, wciągano aż chorągwie na maszt.

A ten starosta był częścią ich zmienionego życia, częścią nie oddzieloną ani pochodzeniem ani protokołem. Słuchał, radził, decydował. „Przywitać sie pieknie i pogodać se z nim można — inacy całkiem jak przódzi". „Ino żeby tych bogaczy nie spomogoł". Dokumentowali często tę pretensję, że „on ta som z bidy, dopiro teroz, co tak na pana wyszedł, a przed tym to bidowoł, parzoki nosiuł do lasu, kartofle tędy w worku w takie larugi boso, bo to się ożeniuł daleko. Bogoczy żeby pocisnął, a tych bidnych spomóg..."

W takich formach krystalizowała się władza polityczna i gospodarcza chłopa w powiecie i takimi dziwnymi rezonansami znaczyła swą drogę. Narodziny jej wypełniło wiele opowieści. Mapa powiatu spełniła w jednej z pierwszych rolę „pomocy naukowej": ręka pełnomocnika PKWN do spraw reformy rolnej na powiat rzeszowski ukazywała mi jak kolejno umierały tu dwory. Opis pogrzebu latyfundium był równocześnie opisem narodzin czegoś nowego: ziemi i władzy chłopskiej.

Właściwie to tę pierwszą popołudniową opowieść zaczęliśmy już rano w Urzędzie Ziemskim. Czarniawy i ruchliwy naczelnik objął notatnik rewolucji, listy chłopów i protokoły gromad w sprawie ziemi. Czterdzieści trzy teczki czterdziestu trzech majątków, które zastała reforma rolna w Rzeszowskim. Położył je przede mną. Prosił, żeby nie pomieszać. Jedynej pisanej kroniki rewolucji. Mnie tymczasem spieszyło się z innym, najpierwszym pytaniem. Dużo dworów w powiecie stało opuszczonych, wiatr hulał w pustych oczodołach pałacowych okien, w rozdartych stajniach, Nieznane ręce co nocy podrzynały belkowania, domy i budynki czekały na zawalenie. W Zalesiu chłop spytany o dworek Gumińskich popatrzył na mnie jak na człowieka z innej planety: „Co tam teraz jest?... A co by miało być... nasrane i tyla". Obojętne, bezbarwne wzruszenie ramion tego chłopa wzmagało we mnie potrzebę odpowiedzi. Oni musieli chyba zdawać sobie z tego sprawę: komisarz i starosta! Ten starosta, który przez cały tydzień przyjmował chłopów a na niedzielę szedł na wieś, do żony, między chłopów. Musiał on o tym wiedzieć więcej „po starej znajomości". Przecież można tam było urządzić kluby i czytelnie, szkoły i uniwersytety. Pałace i zabudowania zrządzeniem jakiegoś paradoksu pozostały jako najbardziej reprezentacyjna część reformy rolnej.

Odpowiadali szybko, jakby obnażając rzecz, o której godziło się mówić dopiero na pytanie. Zastrzegali się, że o tym nie można pisać: oni, nawet właściciel resztówek — Samopomoc Chłopska — **chcą rozebrać i zaorać dwory.**

Komentarz był długi, bo naczelnik urzędu starał mi się jak najlepiej wytłumaczyć rzecz, która nieustannie wzbierając zmuszała go siłą żywiołu do bierności. I był umieszczony przed tym zdaniem o zaoraniu: „Nie chcą, my nic na to nie możemy poradzić, nie możemy się oprzeć, my jesteśmy niesieni. Ile razy mówiliśmy: zróbcie tam szkołę! Odpowiadają: dajcie nam to, my rozbierzemy i postawimy na swoim. Będziemy remontować, a potem wróci... do gotowego... niech siada na gołej ziemi".

Franciszek Gil

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

W numerze 40 »Odrodzenia« zawiadomiliśmy, że Spółdzielnia Wydawnicza »Czytelnik« pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej ustanowiła

coroczną nagrodę »Odrodzenia« w wysokości

100.000 zł.

Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1 września 1939 r. (bez względu na wydawcę) lub nadesłany w rękopisie na ręce jury do dnia 1 maja każdego roku. Skład jury będzie podawany do wiadomości corocznie 1 maja.

JERZY PYTLAKOWSKI

Dwadzieścia cztery godziny śmierci *)

Wiktor obejrzał się i spostrzegł człowieka, który patrzył na niego uważnie. Spojrzenie nieznajomego było tak mocne — czuł na twarzy niemal fizyczny ucisk pary błękitnych oczu — że Wiktor, chociaż bardzo zamyślony i przejęty swym dzisiejszym niepowodzeniem, odpowiedział spojrzeniem równie mocnym i uważnym.

W mroku marcowego przedwieczerza sylwetka nieznajomego, ukrytego we wnęce bramy, była tylko białą miazgą twarzy opatrzonej dwoma świetlnymi punktami oczu wysyłających w kierunku Wiktora niepokojące fale uwagi i niezrozumiałej ostrości.

Wiktor stracił nagle poczucie niezależności. Wydało mu się, że jest kiepskim aktorem na jaskrawo oświetlonej scenie i że surowy krytyk, który zna lepiej od niego samego przebieg scenicznej akcji, obserwuje i wydrwiwa jego nieudałą grę. Oczywiście ani nie zwolnił, ani nie przyśpieszył kroku — rutyna uczyniła swoje.

Musiało mu być gorąco, gdyż z prawdziwą przyjemnością poddał twarz chłodnemu powiewowi, który szedł od Wisły. W chwili, gdy wieżowy zegar Instytutu Głuchoniemych zaczynał wydzwaniać godzinę szóstą, Wiktor dostrzegł dwóch ludzi, którzy pojawili się nie wiadomo skąd i szli ku niemu szybkim, wojskowym krokiem. Teraz aż przylepił się do zimnej, chropowatej ściany kamienicy. Prawą ręką ujął kolbę dobrze ukrytej broni i powoli, jakby nie chcąc spłoszyć snu i czyichś drzemiących oczu, tyłem cofał się do bramy. Mężczyźni zbliżali się szybko. Chciał właśnie odbezpieczyć broń, gdy na obu swych rękach poczuł mocne uchwyty obcych dłoni, a w uszach jego, jak ogłuszająca, nieoczekiwana detonacja, wybuchł wyraz „Polizei".

Musiał puścić jeszcze nieodbezpieczone parabellum i rozkrzyżować ręce tak, jak pokierowali nimi dwaj mężczyźni ubrani po cywilnemu. Trzeci szedł tuż za Wiktorem i trzymał automat gotowy do strzału. Ci dwaj, których widział już przedtem, zbliżyli się. Jeden z nich wydobył z kieszeni gwizdek, przybliżył go do ust i dał przeraźliwy sygnał. Natychmiast pojawił się samochód. Tam właśnie poprowadzili Wiktora. Czuł przeraźliwą słabość w kolanach, a w ustach brakło mu śliny. Badał drobnymi na pozór ruchami siłę policyjnego uchwytu, lecz zaraz otrzymał potężny cios kolbą w plecy z odpowiednim napomnieniem. Zrezygnował więc z doświadczeń i bez sprzeciwu dał się posadzić na tylnym siedzeniu między dwoma opiekunami. Dwaj inni usadowili się obok szofera i konwój ruszył.

W nieoświetlonym aucie Wiktor starał się zebrać myśli. Zdołał to uczynić tylko z niemałym trudem, gdyż bardzo mu przeszkadzał oddech obcych ust, który z obu stron łechtał niemile naskórek twarzy.

Samochód jechał niezaprzeczenie w kierunku alei Szucha — co do tego nie mogło być najmniejszej wątpliwości. Przez okno zerkała ku Wiktorowi ulica — jakby polecała się jego pamięci. Auto było niskie i świeżo upieczonemu aresztantowi zdawało się, że wystarczy jeden krok, a znajdzie się sam w mroku ulicznym, znów jak przed chwilą — zagubiony przechodzień.

Usiłował odtworzyć w swej wyobraźni przebieg przypuszczalnej reakcji straży na próbę ucieczki i szybko doszedł do wniosku, że nie ma żadnych szans. Mimo to nie stracił spokoju, był bowiem jeszcze związany ściśle ze swoimi kolegami i osobami bliskimi, z pracą oraz z tym wszystkim, co nadawało jego młodej postaci charakter człowieka żywego i mającego niezaprzeczone miejsce w życiu. Nie dramatyzował, bo znajdował się już w niejednej opresji i nie tracił nadziei, gdyż jeszcze myślał o uwolnieniu, a więc nie poddawał się.

Ostatecznie stało się tylko to, na co czekał, czego spodziewał się i obawiał każdy z ludzi pracujących w konspiracji. Teraz odpadła obawa i lęk — już mu nic więcej nie groziło. Już nie musiał rozglądać się uważnie, idąc ulicą, unikać tłoku tramwajowego, ani przemykać się między przechodniami jak zgoniony zaszczuty, wściekły pies.

Dobrze schowany, a dziś nieużyty rewolwer palił go wyrzutem śmiesznego, bezbronnego poddania się. Tytuły gazetek, które miał przy sobie stanęły mu żywo przed oczami, a na tle ich czarno skreślonych liter pojawiły się twarze i sylwetki znajomych redaktorów, zecerów kolporterów. Wszyscy dużo mówili i żywo gestykulowali.

Wiktor westchnął ciężko i dopiero teraz poczuł, że obie ręce zdrętwiały mu zupełnie — tak bardzo były skrępowane przez trzymających je gestapowców.

Jeden z mężczyzn siedzących obok szofera przerwał milczenie.

— Jak się nazywasz? — spytał po polsku chropowatym, bezdźwięcznym głosem.

Wiktor nie odpowiedział.

Nie dlatego, żeby chciał pokryć milczeniem zapytanie. Po prostu nie wiedział, który z jego pseudonimów był znany policji. Wiktor, Zbyszek, Jasiński, czy może, nie daj Bóg, Ostrowski?

— Wiktor, co? — sam sobie odpowiedział gestapowiec. Pozostali wybuchnęli głośnym śmiechem.

Ten drwiący śmiech poruszył w więźniu poczucie godności osobistej.

Z nieco sztuczną, nonszalancką pewnością siebie wkroczył Wiktor do wielkiego gmachu Sicherheitspolizei przy alei Szucha.

Blask elektryczności omamił go najpierw jakby nadludzkim przepychem tej świątyni niemieckiej sprawiedliwości, a nieznajome, poważne twarze ludzi, którzy go otaczali, tłumaczyły mu, że uczestniczy w czyimś pogrzebie — tak bowiem miarowo, uroczyście, milcząco kroczyli ci ludzie, jak księża konwojujący trumnę z nieboszczykiem. W duchu uśmiechnął się — śmieszna wydała mu się pompatyczna powaga, z jaką policjanci otaczali jego wychudłą postać przyobleczoną w nędzne, zniszczone ubranie.

Zaprowadzono go w podziemia. Tutaj oddał rewolwer wraz z całą zawartością kieszeni. Za rewolwer i gazetki otrzymał pięć uderzeń w twarz, aż krew poszła z dziąseł. Działo się to w korytarzu obok kancelarii. Tak już wyjałowionego z bagażu, lecz mimo piekącego bólu twarzy jeszcze zupełnie opanowanego, popchnięto do znajdującej się obok kancelarii. Tu jakiś starszy feldfebel spisał z kennkarty personalia Wiktora i starał się daremnie otrzymać od niego adres żony, rodziców lub jakichkolwiek innych krewnych.

Wiktor tak był pochłonięty odczuwaniem politowania dla ubogiego umysłu kancelisty, że nie zauważył wcale, gdy Scharfsturmführer dał znak owemu kanceliście, aby opuścił kancelarię.

I zostało ich trzech prócz Wiktora. Scharfsturmführer Frost, wysoki blondyn o twarzy angielskiego sportsmena i rękach zawodowego muzyka, czarny jak kruk tłumacz — Ukrainiec, niski i tęgi, oraz młody Volksdeutsch, silny, wysoki o atletycznej budowie drab. W rękach tłumacza znalazł się od razu pejcz, Volksdeutsch zaś zaopatrzył się w grubą laskę.

W kącie kancelarii na małym stoliku stało radio. Głośnik pełen był dźwięków bardzo rytmicznego i bojowego marsza.

Kazano Wiktorowi zdjąć palto, co też posłusznie uczynił. I następnie, bez żadnych pytań ani indagacji, w rytmie muzyki, spadły na niego pierwsze uderzenia. Smakował je przez chwilę jak nową emocję, lecz rychło przeraził się ich bolesnością. Wydało mu się, że wszystko się kończy. Cały jego długo i pracowicie konstruowany świat, pojęcia, którymi żył on i jego otoczenie, wszystko co piękne i wszystko co złe, i jego matka, którą uwielbiał, i żona, którą kochał, i idea, której wierzył, i praca, którą zapełnił swoje życie, i przyjaciele, których obdarzał przyjaźnią — on! wszyscy i to wszystko przestało istnieć w jednym krótkim, strasznym momencie, zniweczone ciosami hitlerowskiego pejcza. Doszedł do niepomyślnego wniosku, że przemoc i ból mogą zdławić w człowieku wszystkie jego myśli i uczucia, i stworzyć coś zupełnie nowego, mianowicie: tylko ból.

Wiktor pełzał właśnie brzuchem po podłodze owej podziemnej kancelarii i przyjmował na plecy, uda, łydki, kark i ramiona istną fontannę ciosów.

Nie mógł się pogodzić z tą niezasłużoną, w jego mniemaniu karą. Nie mógł ocenić wielkości i potęgi przemocy, która nim poniewierała, gdyż całe życie walczył z przemocą. Dławił go niewypowiedziany protest. Niczego nie rozumiał. Teraz już tylko czuł: cięcie rozpalonego metalu na plecach, pośladkach, udach, łydkach. Głuche uderzenia laską odbijały się głośnym echem w płucach, nerkach, sercu i wywoływały w całym organizmie Wiktora zupełny chaos.

Organizm chory walczy z chorobą. Organizm zdrowy cieszy się zdrowiem. Organizm wystawiony na mękę — buntuje się.

Krakanie. Miauczenie. Niekrakanie i niemiauczenie. Krakanie oszalałego ptaka. Miauczenie ginącego we wrzącej wodzie kota. Krzyk tysiąca zarzynanych dzieci. To organizm Wiktora broni się przed gwałtem.

Śmieszne byłoby, gdyby porucznik Wiktor, dowódca grupy operacyjnej „Szakal", dawny, jeszcze przedwojenny działacz robotniczy, gdyby to Wiktor tak krzyczał! Tak wił się na podłodze. Tak starał się uchronić plecy od razów; przykrywał je rękami, piersiami, brzuchem — lecz nie, już znów cofnął się — ciosy w piersi i brzuch gorzej doskwierają. Gdyby tak spróbował wstać i umknąć ciosom — nie, obalają go od razu.

Frost uśmiechnął się dyskretnie: machina działa sprawnie. Bandyta poznał, co to jest organizacja niemiecka.

A Wiktor wił się jak piskorz i krzyczał. Nie on — jego organizm.

Scharfsturmführer Frost z uśmiechem ubolewania wzmocnił transmisję bojowych marszów niemieckich — bandyta ryczał przeraźliwie. Następnie Scharfsturmführer Frost wziął laskę od Volksdeutscha, który już bardzo się zasapał — brak rutyny — i przepisowo, pokazowo, rytmicznie puścił w ruch swoją prawicę wraz z laską. Młody gestapowiec nie spuszczał oczu z szefa — studiował. Wiktor zaś przestał krzyczeć. Stracił przytomność po raz pierwszy.

Z omdlenia ocucił go ból. Dwaj posługacze podnosili go i chcąc nie chcąc urażali obolałe ciało. Powstał sam, chociaż był bardzo osłabiony. Sam także szedł podtrzymywany tylko z lekka przez posługacza. Zaprowadzono go do separatki i tu dopiero, odczytując bez żadnej potrzeby dziesiątki razy napis niemiecki zabraniający surowo rozmów i palenia, odzyskał pełnię świadomości. Całe ciało, nie tylko skatowane jego części, paliło i piekło. Przy najdrobniejszym ruchu ból potęgował się wielokrotnie. Korytarzowy przyniósł mu w aluminiowym kubku zupę z brukwi i kawałek chleba. Wiktor jedzenia nie tknął.

Korytarzowy nie spuszczał z Wiktora oczu i w ubikacji, gdzie więzień obmył sobie twarz i ręce, polał włosy zimną wodą i napił się jej, aby się nieco orzeźwić.

Dziwnym trafem pozostawiono mu na ręce zegarek. Był uszkodzony; wskazówki zatrzymały się na godzinie pół do siódmej.

Wiktor zagadnął korytarzowego, który go przyszedł zakuć na noc, o godzinę. Była dopiero ósma.

Korytarzowy z hałasem zatrzasnął kratę i odszedł. Co chwila jednak wracał i patrzył na Wiktora. Miał to czynić przez całą noc, choć może o trzeciej czy czwartej nad ranem zdrzemnie się nieco i zapomni o służbie. Ale to i tak nie zmieni sytuacji, Wiktor bowiem nie myślał o samobójstwie: nie miał trucizny. Było to poważne zaniedbanie.

Z pobliskiej kancelarii dochodziły dźwięki muzyki. Właśnie jakiś niezły tenor śpiewał po włosku tragiczną arię Cavaradossiego z czwartego aktu „Toski". Wiktor był muzykalny i ocenił od razu należycie charakter utworu zharmonizowany z jego obecną sytuacją. Gdzieś dalej, na korytarzu, gestapowcy strzelali z wiatrówki do tarczy, a odgłosy tych strzałów dochodziły Wiktora jako głuche, drażniące uderzenia.

Powoli na korytarzu ruch ustawał, a wkrótce także przycichło radio i strzały. Teraz Wiktor został zupełnie sam ze swymi myślami, ze skatowanym ciałem i z wszystko widzącym cieniem zaglądającego co chwila korytarzowego.

Chciało mu się pić — musiał mieć gorączkę. Skute do tyłu kajdanami ręce drętwiały, a twardy ucisk żelaznych obręczy nieznośnie doskwierał. Nieustannie czuwający blask lampy elektrycznej raził łzawiące z bólu oczy.

Spróbował usiąść na twardym krześle: szarpnął z bólu; jakby elektryczna iskra przeszła po całym ciele. Stał przez chwilę pod ścianą, lecz nogi go bolały. Był zmęczony, chodził dzisiaj dużo. W końcu brzegiem lewego pośladka nieco mniej zmasakrowanego zahaczył o płaszczyznę krzesła krzywiąc się z bólu i jęcząc cicho. Rychło jednak zapomniał o swych fizycznych dolegliwościach, tak bardzo bowiem pochłonęły go rozmyślania.

Uznał nagle — myśl ta olśniła go zupełnie nieoczekiwanie — że umrze z całą pewnością jutro, pojutrze lub za dwa dni. Wstrząsnął nim niepomierny, gwałtowny żal za życiem. Niemal łkał wewnętrznie z rozpaczy. Drobne, nic nie znaczące zdawałoby się szczegóły dnia codziennego nabrały olbrzymiej wagi. Kąt noclegowy, stolik w jadłodajni, gdzie jadał ostatnio obiady, urywki przeczytanych książek, słyszanych melodii, barwy znajomych krajobrazów oszołomiły go nieosiągalnym pięknem. Żona, matka — postacie kochające — wizerunki ich wzruszyły go niemal do łez, tak bardzo wydała mu się nierealna ich miłość i dobroć. Wyszły z dzieciństwa młode wspomnienia, późniejsze — skarby przeżyć, które każdy człowiek kryje w sobie. Wszystko to było doskonałe i nadludzko przyjemne. Fragmenty czynów i prac, które spełnił orzeźwiły go na chwilę swoim męskim, rzeźkim i skromnym wyrazem. Zazdrościł sobie samemu swojego utraconego życia. Pełne szczęście, którego nigdy nie zaznał, odnalazł obecnie w sobie samym z dnia wczorajszego jeszcze. Czuł najwyraźniej, jak bardzo był bogaty codziennie, gdy mógł poruszać się swobodnie i spełniać swoje czyny. To dziwne, lecz praca, która najbardziej wypełniała jego życie, teraz była tylko mało ważnym fragmentem, głupstwem i niepotrzebną naleciałością. Życie osobiste zaś — zawsze uważał je za rzecz drugorzędną — obecnie stało się bezsprzecznie pierwszoplanową treścią jego jestestwa.

Gorączkowo i nieprzytomnie zaczął szukać ratunku. Historie udałych ucieczek, o których słyszał i cudownych ocaleń ożywiły go bardzo. Oglądał ściany celi. Wstał, aby zbadać wytrzymałość krat. Wszystko to zajęło mu sporo czasu i byłby chętnie przez całą noc szukał drogi wyjścia z celi, gdyby nie oczywista bezsensowność tych prób. Zrezygnował więc, chociaż nie stracił nadziei. Ostatecznie jutro może przynieść jakąś korzystną sytuację. Znów pogrążył się we wspomnieniach. Przecież to one tylko łączyły go jeszcze z życiem.

Myśli Wiktora stawały się coraz mniej jasne: fragment parku Paderewskiego wraz ze znajomą ławką z okresu narzeczeństwa i późniejszej działalności konspiracyjnej przylgnął do jego wyobraźni. I w końcu orzech włoski i krzak bzu, otaczające ławkę, łagodnym szumem liści, powiewnym głaskaniem opowiadały mu coś kojącego i nierealnego, coś, czego nawet nie rozumiał, co tylko czuł, czuł tak bardzo, że odległe czasy wróciły, a teraźniejszość odeszła i Wiktor usnął głaskany gdzieś tam w zakamarkach wyobraźni zebranymi podmuchami drzew i krzewów jego minionego życia.

Rano obudził go hałas. Przypędzono jakichś ludzi, porozmieszczano ich obok. Ludzie ci kaszlali, stękali, a oczy ich, więzienne, wielomówiące oczy, napełniły Wiktora lękiem. Po korytarzu chodzili gestapowcy, radio już grało i strzały z wiatrówki znów się rozpoczęły. Korytarzowy rozkuł Wiktora i odprowadził go do toalety. Ledwie Wiktor powrócił do celi, natychmiast pojawił się Volksdeutsch.

— Chodź! — zawołał na Wiktora głośno i zwięźle jak na psa.

Wiktor szedł przodem — tak bowiem iść musiał. Co chwila oglądał się na Volksdeutscha, gdyż nie wiedział, dokąd ma iść. Okazało się, że celem był pokój na trzecim piętrze opatrzony cyfrą 317. Wszedłszy do pokoju Wiktor zauważył, że tak referent, jak i tłumacz, są w mundurach. Odczytał z łatwością ich szarże i obrzucił wzrokiem pokój; jasne ściany, wielkie okno, dużo światła, poza tym zwykłe umeblowanie biurowe: dwa biurka, kilka krzeseł, szafa — wszystko to sprawiało wrażenie normalne i nawet przyjemne. Volksdeutsch tu właśnie przyprowadził Wiktora, lecz sam zaraz opuścił pokój.

Przez chwilę Wiktor stał bez ruchu pod drzwiami. Nie wiedział, co ma z sobą zrobić, był zażenowany. Gestapowcy spoglądali na niego uważnie ze swych foteli.

— Siadaj — rzekł wreszcie, tłumacz, nawet dość uprzejmie.

— Sprichst du deutsch? — spytał Frost.

— Nie — odpowiedział Wiktor po polsku.

W tym momencie bzyknęła mucha i Wiktor zdziwił się, że w marcu są już muchy.

— No, nie udawaj. Dlaczego nie chcesz mówić po niemiecku? — tłumacz poparł swego zwierzchnika.

Wiktor zmieszał się. Niesłusznie posądzono go o kłamstwo, a nie wiedział jak udowodnić, że mówi prawdę. Nic nie odpowiedział i zresztą nikt więcej nie nalegał. Frost zaczął uderzać o kant stołu laską znaną Wiktorowi z wczorajszego wieczoru, tłumacz zaś uderzał również znajomym pejczem o nogę fotela. Milczenie trwało przez chwilę. Słychać było tylko suche uderzenia laski i wilgotne mlaskani pejcza. Wiktor sapał głośno i patrzył jak zahypnotyzowany na ruchy laski.

Nagle Frost zagulgotał gwałtownie. Tłumacz uśmiechnął się i zadał Wiktorowi pierwsze pytanie:

— Więc poruczniku Wiktorze, lub też Janie Jasiński, jak się nazywasz?

Wiktor znów nic nie odpowiedział. Dopiero zbierał myśli. Frost znów zagulgotał. Tłumacz znów rzucił pytanie i znów nie czekał na odpowiedź. Wiktor czuł, że w powietrzu unosi się coś odrębnego, niezwiązanego z chwilą obecną. Zdawało mu się, że coś, co już się stało, ciąży nieodwołalnością dokonania i na nim, i na obu gestapowcach. Przestał brać na serio zadawane mu pytania, gdy nagle tłumacz zadziwił go. Bardzo grzecznie zaczął tłumaczyć, że oni dokładnie wiedzą, kim jest Wiktor i co robi. I poparł te słowa faktami: udział w pracy wojskowej, politycznej, przytoczył pseudonimy osób, z którymi Wiktor współpracował, adresy lokalów, które były już martwe, daty i przedmiot akcji, w których ostatnio uczestniczył. Tłumacz wyraził nawet swoje ubolewanie z powodu przysłania przez okręg instruktora: a więc mimo takiej pracy, mimo takiego oddania się idei, twoje dowództwo uznało, że trzeba cię kontrolować. Przysłano ci szefa. Oto masz zapłatę.

Przez cały czas trwania tej przemowy — trwała ona około pół godziny — Frost nie spuszczał oczu z Wiktora. Co mógł wyczytać z twarzy porucznika?

Wiktor zdziwił się, a następnie przeraził dokładnością zebranych przez policję informacji. Było jasne, że gdzieś, może nawet wśród „Szakali", znajdował się prowokator. Oceniał pośpiesznie postacie towarzyszy i nie mógł znaleźć szpiega. Jednakże przytoczone fakty były świeże — nikt nie wpadł i nie sypał. Informacje z całą pewnością pochodziły z wolności.

*) Opowiadanie wyróżnione na konkursie Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie.

— Muszę ich ostrzec — myślał — koniecznie ostrzec.

Zapomniał o wszystkim, tylko to jedno pragnienie opanowało go.

— A teraz powiesz nam — kończył tłumacz swoje wywody — kto to jest instruktor i gdzie go można zastać.

Zapadło milczenie. Frost wymownie bawił się laską, tłumacz zaś pieścił pejcz. Obaj nie spuszczali oczu z Wiktora.

— Mów! — ryknął tłumacz.

Drzwi się otworzyły i wpadł Volksdeutsch. Stanął tuż obok Wiktora i zerwał mu z ramion palto.

Wiktor chciałby powiedzieć coś, co miałoby sens i nie szkodziłoby nikomu, lecz nic takiego nie przychodziło mu do głowy. Milczał więc. Zauważył, że Frost spojrzał wymownie na tłumacza. Ten wstał, stanął przed Wiktorem i powiedział:

— Będziesz robił tak.

Obie ręce wyprostował przed sobą w linii poziomej i ćwiczył przysiady.

— Zrozumiałeś? — spytał na zakończenie.

— Tak — odparł Wiktor.

Był zadowolony, że żądają od niego tylko tyle.

Z trudem udawało mu się utrzymać równowagę. Ciało bolało go bardzo, a przecież wyprostowanie ramion napinało mięśnie pleców i piersi, przysiady zaś forsowały obolałe mięśnie pośladków i nóg. Był osłabiony i chwiał się. Gdy znalazł się w pozycji kucznej, musiał podeprzeć się dla utrzymania równowagi. Było mu wstyd i czuł śmieszność sytuacji: on, Wiktor, dorosły człowiek, dobry gimnastyk, niezdarnie się gimnastykuje, a trzej wrogowie patrzą na to. Zresztą nie dano mu długo rozmyślać o tym. W chwili, gdy był już w pozycji półprzysiadu i zdążał do zrobienia drugiego przysiadu, Ukrainiec obdarzył go świszczącym dotknięciem pejcza. Dobrze wycelowany cios zawisł na udach nieco poniżej pośladków i oparł się całą siłą na wyprostowanych w tym właśnie momencie i najbardziej pionowo zwisających przewodach nasiennych, utrzymujących jądra.

Efekt tego ciosu był znakomity: Wiktor skoczył naprzód — jest taka figura w kozaku — i upadł na twarz — czego w kozaku nie ma. Nie krzyknął wcale. Był oszołomiony tą nową metodą śledztwa. Nawet nie dziwił się tak bardzo: wszyscy przecież wiedzą, które miejsce ciała mężczyzny jest najsłabsze. Czuł tylko wielką niechęć do swojego ciała za kłopot, jakiego mu przysparzało. Długo byłby tak leżał z głową w kwadracie słońca, które zaglądało przez okno i docierało aż do podłogi, gdyby nie Ukrainiec i Volksdeutsch. Poczęli go kopać z pasją i wołać z nerwowym pośpiechem:

— Dalej! Dalej!

Krzyki i uderzenia zrobiły swoje: Wiktor zupełnie mechanicznie znowu stanął na nogach i znów z wyciągniętymi ramionami gimnastykował się. W tym samym momencie i w to samo miejsce trafił drugi cios. Tym razem Wiktor nie upadł, lecz usiadł. Czuł ból niezwykle przejmujący, przerastający wszystko, co można sobie wyobrazić. Nie mógł nawet krzyczeć z osłupienia, że człowiek jest zdolny znieść tak wielkie cierpienie. Ogarnął go skurcz, spazm, coś w rodzaju porażenia nerwowego: paraliż ten szedł do lędźwi, a kończył się aż w gardle. Nie mógł się ruszyć ani jęknąć. W oczach miał czerwień, w uszach cały ocean szumu. Był zupełnie pokonany. Ciosy, razy: wymyśły potrafiły go zmusić do dalszej gimnastyki. Szał zaczynał go ogarniać. Szał bezsilności, protestu, trwogi. Charczał, z ust jego płynęła piana, z oczu ciekły łzy — zachowywał się tak, jak gdyby wymiotował. Stale upadał i stale wstawał, by kontynuować przysiady, zmuszany do tego przez tłumacza, który znał najdokładniej wszelkie arkana tresury ludzi. Aby uniknąć mniejszego bólu, ułatwiał zadawanie większego, ponieważ żądano tego od niego. Wola oprawców była silna, potrafiono go złamać.

Wreszcie słońce dopomogło Wiktorowi: oślepiało go, gdy kucał, z bestialską, okrutną radością raziło, przez okno wpadając; gdy wstawał, cień zapełniał łzawiące oczy. Wiktor upadł i nie mógł wstać, stracił bowiem równowagę. Choć kopano go po głowie, tratowano i bito, leżał bez ruchu jakby w półnarkozie. Czuł ból, lecz nie reagował na niego. Oprawcom zdawało się, że stracił przytomność. Zaprzestali ciosów. Byli zresztą zmęczeni. Tłumacz usiadł i ocierał spocone czoło. Frost patrzył na zaczynającą się za oknami wiosnę. Tylko Volksdeutsch badał ofiarę: zaglądał Wiktorowi w oczy i podkopywał go jeszcze z lekka.

Chwila spokoju otrzeźwiła Wiktora.

— Muszę zdobyć nieco czasu — szalonym wysiłkiem woli zdołał się zmusić do myślenia. — Muszę ich zawiadomić.

Nagle wstał i zaskoczył tym przeciwników. Nawet Volksdeutsch dał mu spokój. Wszyscy trzej patrzyli na Wiktora jak na ducha.

Pierwszy tłumacz ochłonął.

— No, będziesz mówił? — spytał ironicznie.

Wiktor milcząco skinął głową.

— Mówić nie mam co — wycharczał. — W mieście, na ulicach — tragicznie to mówił. Miasto było dla niego jakby bezpowrotnie utraconą ojczyzną. — Kręcą się ludzie. Lokalu nie ma. Nie znam. Nie wiem, gdzie instruktor mieszka, ani jak się nazywa. Wiem, gdzie może być.

Starał się odgadnąć, która jest godzina. Zdobyć choć godzinę czasu — myślał.

— O dziesiątej — zakończył.

Wrócili go. Po schodach ledwie szedł. W celi, chociaż głowa jego była tylko zlepkiem bólu i krwawych wrażeń, nie stracił ani chwili czasu. W kieszeni znalazł ołówek i skrawek papieru. Trzęsącą się ręką wypisał adres pewnej czcigodnej matrony. Rozglądał się, zadając sam sobie ból. Po korytarzu chodzili gestapowcy. Stale musiał uważać.

„Klimat ciężki" — pisał. — „Poza tym bakcyl musi tkwić w organizmie któregoś z szakali. Strzeżcie się. Szukajcie zarazka. Żegnajcie. Wiktor".

Wydawało mu się, że znajduje się w celi dopiero pięć minut, gdy przyszli po niego wszyscy trzej, w cywilnych ubraniach. Przed wejściem do auta tłumacz pokazał Wiktorowi rewolwer i rzekł:

— Jak będziesz uciekał, to...

Wiktor przyjął te słowa bez żadnego wrażenia. Tkwiła w nich przecież ironia. Gorsze było co innego.

Wozili go po mieście wczorajszym autem. Wybrał sobie Plac Teatralny.

— Tu — stęknął.

Samochód zatrzymał się. Pomogli mu wyjść. Szedł pierwszy, oni trzej za nim. Myślał nad tym, jak rzucić kartkę. Rękę z kartką wziął przed siebie. Upadł na tę rękę. Podnieśli go. Ludzie zaczęli się przyglądać. Kartka została na chodniku. Dalszy jej los nie interesował go, gdyż nie zależał od niego. Stanął w bramie domu przy ulicy Wierzbowej i udawał, że przygląda się przechodniom. Wiosenne, ciepłe powietrze upoiło go, przez chwilę był nawet szczęśliwy: nie myślał o niczym i nie czuł bólu. Wreszcie poczuł zmęczenie.

— Wracajmy — szepnął. — Nikogo nie widać.

Gestapowcy nic nie odpowiedzieli. Wepchnęli Wiktora do auta. Auto ruszyło.

I gdzieś na rogu Brackiej i Chmielnej stało się nieszczęście. Wiktor zupełnie bezmyślnie patrzył przez okno na ulicę. Patrzył i właściwie nic nie widział. Lecz ją dojrzał. Swoją żonę. Szła powoli, przygnębiona i smutna, z pochyloną głową. Oczywiście nie widziała go. Ożywił się cały. Przybliżył się do szyby. Chciał zawołać coś, cokolwiek krzyknąć, lecz powstrzymał się. Gestapowcy zauważyli jego nagłe ożywienie.

— Kogo widziałeś? — spytał tłumacz.

— Nikogo — odparł prawie wesoło.

— Nikogo?

— Nie.

— Czekaj — warknął tłumacz.

I znów zapadło milczenie.

Wiktora ogarnęła gorączka. Móc jeszcze jeden raz uścisnąć żonę. Przez pięć minut widzieć ją. Spojrzeć w jej oczy. Ucałować. Skatowane ciało kryło jeszcze w sobie miłość.

Jak wpadł na to? — Instruktor. Chcą od niego instruktora. Wie przecież, gdzie go można zastać.

Z instruktorem to był oczywisty skandal. Wiktor znał swoich ludzi, pracował z nimi już od lat. Praca szła dobrze i nagle dowództwo przysłało mu instruktora, który zaraz na wstępie zaznaczył: dużo musi się tu zmienić. Było to tego dnia właśnie, gdy go aresztowano. Jątrzył w sobie tę ranę jadąc autem i idąc do celi. Dopiero w samej celi przestał, gdyż Frost, tłumacz i Volksdeutsch przystąpili zaraz do akcji. Bili go wszyscy trzej jednocześnie — Volksdeutsch jakimś żelaznym prętem — nie patrząc gdzie: po głowie, po karku, po całym ciele. Metoda ta okazała się łaskawsza dla Wiktora: dosyć szybko stracił przytomność.

Kiedy obudził się? Jak długo leżał bez przytomności? Sam nie wiedział. Powoli zaczynał zdawać sobie sprawę z rzeczywistości. Ból siekł go niemiłosiernie. Głowa pękała. Na lewe oko nic nie widział, tak było zapuchnięte. Można powiedzieć, czuł całe swoje ciało. Nigdy jeszcze nie miał ciała tak wielkiego, złożonego z tylu cząstek i włókienek. Rozpadał się na tysiące drobnych kawałków bólu i znów zlewał w jedną gorejącą całość. Raz mu było zimno, to znów gorąco. Szeptał coś do siebie i stękał.

Zaczął myśleć. Skończy z instruktorem. Muszą go puścić. Wtenczas wróci do żony. Będzie żył spokojnie i cicho. Bez polityki. Tylko dla żony i matki. Chciał krzyczeć i wołać, żeby go puścili, że zrobi co zechcą, lecz nie miał siły. Targał się więc wewnętrznie zupełnie bezcelowo, gdyż przyszli do niego wszyscy trzej, z nahajami.

— Będziesz mówił? — zagaił tłumacz.

— Tak — szepnął.

Tłumacz, doskonały znawca psychiki swoich klientów, rzekł z uśmiechem:

— Wydasz łącznika, puścimy ciebie. Ty nie jesteś nam potrzebny. O niego nam tylko chodzi.

Wiktor był szczęśliwy. Oczywiście. Jego puszczą. Im chodzi tylko o instruktora.

Znów jeździli autem. Wiktor kazał się wozić wszędzie tam, gdzie wiedział, że instruktora nie spotka. Przestał się łudzić, stracił nadzieję. Bał się bowiem spotkania z instruktorem. Wiedział, że nigdy i za nic go nie wyda, a chciał za wszelką cenę mieć w zapasie dla siebie choć iskierkę nadziei.

Jeździli więc po Żoliborzu, Wiktor zaś wiedział, że instruktora można spotkać na Mokotowie. Chodzili po cukierniach, barach, restauracjach, to znaczy gestapowcy chodzili, bo Wiktor słaniał się tylko na nogach. Czekali ukryci po wnękach bram. Szpiclowali, rozglądali się — najzupełniej bezowocnie. Wreszcie Frost zdenerwował się. Kazał wracać. Powrócili więc. I w celi Wiktor znów otrzymał cięgi. Za nieudały wypad, za kłamstwo, za stratę czasu.

Krzyczał głośno, tłumaczył się, że to nie jego wina. Tłumaczenia nic nie pomogły, swoje dostał. Zostawili go w spokoju, gdy już zupełnie bierny, półżywy, bez skargi pozwalał się katować.

Długo leżał oszołomiony, ogłupiały, z dręczącym wyrzutem bolących członków, z napęczniałą od krwi śliską koszulą na grzbiecie, z piekącymi ranami sączącymi krew. Był prawie martwy, choć cierpiał. Znajdował się jakby w agonii. Nie liczył się już za żywego, nie był także umarłym. Cierpiał i w niczym nie mógł sobie ulżyć.

Nachodzić go zaczęły najrozmaitsze widziadła i majaki. Zapadał w gorączkową drzemkę i budził się co chwila z okrzykiem lęku: sny także nie dawały mu spokoju. Budził się więc, ogarniał nieprzytomnym spojrzeniem celę i znów zapadał w sen graniczący z letargiem. Na zegarach wskazówki posuwały się naprzód; godziny następowały jedna po drugiej, lecz dla Wiktora czas stał na miejscu: niezmienna rzeczywistość otoczyła go oparami majaków i trwał tak — zniszczony, obrzmiały, sennie nieprzytomny — niegdyś człowiek.

Obudziło go pragnienie. Język wprost przysechł mu do podniebienia. Gardło paliło niemiłosiernie. Nie miał sił wołać o wodę, zresztą byłoby to zupełnie bezcelowe. Jak na złość stanęły mu przed oczyma kiście bujnych, soczystych, zielonych winogron. Obraz ten był tak realny, że aż czuł w sobie ich kulisty kształt i ożywczy zapach. Nie mógł tylko napoić się bujną soczystością wyimaginowanych owoców.

Tłumacz i Volksdeutsch odwiedzili Wiktora. Weszli bez słowa, uzbrojeni jak zwykle w pejcz i kij. Chodzili przez chwilę po celi obserwując leżącego.

Wiktor patrzył na nich pytająco, jak pies na swego złego pana, myśląc: co też im strzeli do głowy?

Tłumacz ryknął:

— Wstawaj! Idziesz na badanie.

Wiktor nie poruszył się nawet. Chciał gestapowcom dać do zrozumienia, że z nim także trzeba się liczyć. On także ma tutaj coś do powiedzenia. Jest pobity, chory i nie może wstać. Gdyby go tak nie bito, wstałby, i owszem.

Bardzo szybko wytłumaczyli mu, że ma siłę wstać, a nawet wejść na trzecie piętro. W pokoju 317 czekał już Frost. Spokojny, obrażony, niechętnie patrzył na Wiktora.

Pytano Wiktora, od kogo kupił broń i gdzie drukuje się prasa. Odpowiadał wymijająco słabym głosem, choć z pewną stanowczością. Bili go teraz po rękach i palcach. W ten sposób można było bić i bić, a delikwent nie tracił przytomności.

Wiktor cierpiał bardzo, lecz starał się nie krzyczeć. Było mu wstyd. Zgrzytał więc tylko zębami i wyczyniał twarzą najokropniejsze grymasy. Czasem jednak nie mógł się opanować i krzyknął raz, dwa — znów się opanowywał i cichł. Oprawcy zmieniali się — Volksdeutsch luzował Ukraińca i przeciwnie. Ręce Wiktora powoli stawały się jedną krwawą raną. Wzięto pod uwagę uda. Wiktor siedział na krześle i uda stanowiły doskonale uwypukloną płaszczyznę. Zaczął się wyrywać. Nie mógł już znieść bólu. Trzymano go. Szarpał się. Zupełnie machinalnie, bez planu zdobył się na krańcowy wysiłek i skoczył ku oknu. Tam, za szybą, chciał szukać ocalenia. Dlaczego upadł, potłukł się silnie, skręcił rękę? Tłumacz, doskonały fachowiec w tych sprawach, podstawił mu nogę.

Teraz już Wiktor nie miał nic w zapasie.

Obalono go na podłogę i poczęto bić zwyczajnie po skrwawionym ciele. Bito go straszliwie, bez pardonu, na śmierć. Z ust Wiktora płynęła ślina, odór kału wypełniał powietrze: kiszki zareagowały swoiście na ból. Kalesony napęczniały i uderzenia laski w pośladki wydawały dźwięk podobny do odgłosu kijanki, jaką wiejskie kobiety piorą bieliznę.

Dopiero, gdy był półprzytomny, w malignie, podjął obronę. Skamlał, prosił, przysięgał, że powie prawdę, niech tylko przestaną go bić. Zaklinał się na miłość do matki i żony. Płakał, rzucał się, jak gdyby był poddany działaniu prądu elektrycznego.

Oprawcy przestali bić Wiktora. Po prostu zmęczyli się.

Kazał się wieźć na miasto — pokaże im instruktora.

Gestapowcy nie mieli nic do stracenia. Udali, że mu wierzą.

W aucie uspokoił się nieco, a świeże powietrze wpadające przez otwarte okno wróciło mu przytomność. Był zupełnie złamany fizycznie i psychicznie. Wpadł w apatię tak wielką, że gdyby w tej chwili zapytano go o cokolwiek, najpewniej byłby udzielił wszelkich informacji. Nie mógł już odczuwać ani nienawiści, ani miłości. Wszystko, co dotychczas było dla niego ważne, czy nawet bardzo ważne, obecnie nie przedstawiało absolutnie żadnej wartości.

Tłumacz spytał go o miejsce, gdzie można spotkać instruktora. Odpowiedział coś grzecznie, sam nie wiedział co.

W pewnym momencie otrząsnął się z apatii. Był jeszcze senny i cichy, lecz już zadowolony i czynny. Łudził się, że wie, co go czeka, gdyż powziął postanowienie. Ogarnął go nagle wewnętrzny, nerwowy pośpiech: rozglądał się dokoła, oglądał do tyłu, mrugał oczami, szeptał coś do siebie, słowem niecierpliwił się, tak bardzo bowiem nęciła go nicość. Dojrzał do niej, był jej godzien, gdyż jej pożądał.

Auto stanęło. Gestapowcy wyszli na jezdnię i wyciągnęli Wiktora. Zmasakrowane ręce kazali mu trzymać w kieszeniach, chociaż poranionej twarzy przecież nie mógł ukryć. Stanęli w bramie. Wiktor, który ledwie mógł się utrzymać na nogach, znajdował się tuż przy wylocie bramy, nieco z tyłu za nim tkwili trzej gestapowcy. Spojrzał na nich z uśmiechem, obrzucił wzrokiem pustą w tej chwili ulicę i ruszył przed siebie niepewnym truchcikiem.

Miał szczęście: Frost akurat zapalał papierosa, Volksdeutsch oglądał się poza siebie, tłumacz zaś wycierał nos.

Wiktor zatrzasnął bramę i biegł poprzez ulicę, a właściwie kolebał się na pobitych nogach, trząsł się, podskakiwał do przodu. Kał wypełniający kalesony, kołysał się rytmicznie i raził potłuczone pośladki nawet swym znikomym dotykiem.

Volksdeutsch chciał dogonić Wiktora, lecz Frost zdobył się wspaniałomyślnie na wymowny gest ręką: nie mógł już patrzeć na tego człowieka. Miał go dosyć, szkoda było czasu. Volksdeutsch zorientował się od razu, o co chodzi szefowi. Wyjął automat i puścił serię strzałów za uciekającym.

Kule dosięgły Wiktora w chwili, gdy zrozumiał, że nie może już ani biec, ani iść i że zaraz upadnie. Całą siłą woli starał się przedłużyć choć o sekundę swój wysiłek i tak dosięgły go kule.

Pobliski zegar wieżowy wydzwaniał godzinę szóstą, gdy Wiktor został olśniony granicą, która zamyka życie. Ręce z palcami niewiarygodnie wyprężonymi podniósł do góry, usta zacisnął, oczy przymknął jakby z nadmiernej rozkoszy i upadł już martwy twarzą na bruk ulicy. Tak przylgnął do ziemi na zawsze.

Jerzy Pytlakowski

CELINA BOBIŃSKA

W stulecie Rewolucji Krakowskiej

21 lutego 1846 roku na starych krakowskich budynkach wykwitły chorągwie narodowe jako znak walki. Wskrzeszały one zgoła inną Polskę. Nie tę — z 1772 roku, i nie tę. która upadła pod kartaczami Paskiewicza, i nawet nie tę — Polskę szlachetnego kompromisu 3 Maja.

Dwutygodniowa miniaturowa Republika Krakowska zwiastowała Polskę demokratyczną i to bardziej konsekwentną w swych demokratycznych poczynaniach niż te liczne republiki, które po upływie dwu lat posiała wielka burza po całej Europie.

Zbędne byłoby szukać przyczyn lokalnego powstania w samym tylko gruncie krakowskim. Był przecież Kraków wielokrotnie ośrodkiem pracy podziemnej, przepływały przezeń fale wygnańców. Tu były wrota, którymi dostawali się emigranci jadący do kraju Tu przed powstaniem ześrodkowywały się wysiłki organizacyj powstańczych ze wszystkich zaborów, jako że w Krakowie miał być sztab powstania.

Toteż swym ogólnonarodowym znaczeniem wypadki krakowskie przerastają geograficzne ramy powstania. Były te wypadki rezultatem gorzkiego doświadczenia narodu, rezultatem walki postępowych Polaków na emigracji i odbiciem dojrzałości demokracji krajowej.

Co sądzić obiektywnie, sprawiedliwie, o różnych nurtach i odcieniach ruchu, o tych rozmaitych czynnikach, które przed stu laty walczyły o Polskę? Nie tylko w Polsce, ale na całym świecie najróżniejsze ugrupowania, często przeciwstawne polityczne, przyswajały i przyswajają sobie od 150 lat miano demokratów.

Wewnętrzną treścią wszystkich istotnie demokratycznych ruchów w przeciągu całego okresu historii nowożytnej była walka o ziemię i wolność dla chłopa. A szczególnie dokładnym probierzem sprawa chłopska była na wschodzie Europy, opóźnionym o stulecie, gdzie stanowiła ona i poniekąd dotąd stanowi zasadniczy problem społeczny.

Konsekwencją bezlitosnych lekcji Powstania Listopadowego było to, że na emigracji nikt już, nawet Hotel Lambert, nie negował, nie mógł negować sprawy chłopa. Walka rozgrywała się teraz wokół tego, **jakie** mają być zmiany w ustroju agrarnym i w **jaki** sposób mają się odbyć. I tu zachodziły decydujące różnice.

Wspomniany obóz arystokratyczny po pół wieku doświadczeń narodu, po gwałtownych rezultatach kodeksu Napoleona, w okresie jawnego już kapitalistycznego przekształcania wsi polskiej, stanął na gruncie ogólników Konstytucji 3 Maja. Ale teraz ogólniki te maskowały tylko niechęć do przemian radykalnych, niechęć do programów wyraźnie sprecyzowanych.

Towarzystwo Demokratyczne, które tak poważnie przyczyniło się do ruchu 1846 i 1848 roku, wspomniane jest w „Manifeście komunistycznym" jako partia, która „rewolucję agrarną uważa za warunek wyzwolenia narodowego, ta sama partia, która wywołała powstanie krakowskie 1846 roku".

Nie przypadkowo lewica europejska popierała Towarzystwo Demokratyczne. Deklarowało ono przecież we wszystkich swoich dokumentach uwłaszczenie chłopów bez odszkodowania, rewolucję społeczną, nawoływało do zerwania z fatalną magnacko-szlachecką tradycją. A jednak ta postępowa, burżuazyjno-szlachecka organizacja nie była konsekwentnym rzecznikiem interesów chłopskich. W ślad za groźnym głoszeniem „francuskich" rewolucyjnych dróg przemian społecznych nie następował konkretny program zlikwidowania, również „po francusku", obszarniczego pańszczyźnianego ustroju, aby całkowicie oczyścić pole dla rozwoju własności chłopskiej.

Lenin w swych pracach ekonomicznych odnoszących się do XIX i XX wieku znalazł bardziej klasyczny przykład „czystego kapitalizmu agrarnego", przykład amerykański. Stąd i nazwa „amerykańskiej drogi rozwojowej" w przeciwstawieniu do „drogi pruskiej" (klasyczny przykład — Prusy), kiedy to kapitalizację wsi zaszczepia się przez nieudałą reformę na gruncie niezniszczonych jeszcze pańszczyźnianych stosunków, na gruncie starego podziału własności gruntowej. Własność chłopska ograniczona do starych nędznych działek zmuszała chłopa, aby szedł w niewolę do pobliskiego folwarku, gdzie pan doświadczał „nowych form gospodarki" na tymże samym wypróbowanym chłopskim grzbiecie To droga najcięższa dla chłopa, a bezbolesna, nawet dogodna dla obszarnika. Wyciskała ona swe piętno na całym rozwoju gospodarczym i społecznym, obciążając go kompromisami z obszarniczą reakcją we wszystkich dziedzinach życia.

Towarzystwo Demokratyczne mówiąc o przekazaniu chłopom tylko tej ziemi, za którą odrabiali pańszczyznę, pozostawiając folwarki obszarnikom, wybierało drogę owego fatalnego kompromisu ekonomicznego i społecznego. W tym decydującym programowym punkcie zwyciężyła stara wahadłowa polityka, łudzenie się, że możliwe jest jakieś nadklasowe rozwiązanie sprawy, czyniące zadość i chłopom i szlachcie.

Toteż elementów ludowych na emigracji, które jednoczyły się w „Ludzie Polskim", nie mógł zadowolić program TD. Tu żywiołowo dążono do tego, aby raz na zawsze skończyć ze sprzecznością między posiadaniem i własnością, skończyć z obszarniczym przywilejem własności — tak samo, jak żywiołowo dążyło do tego chłopstwo francuskie w 1792-93 roku, gdyż dążenie to jest zasadniczym bodźcem każdego ludowego, chłopskiego ruchu.

Naiwny, „gminny socjalizm" „Ludu Polskiego", tak charakterystyczny dla owych czasów płodnych we wszelkie socjalistyczne utopie, w treści swej był właśnie programem amerykanizacji ustroju rolnego Polski pańszczyźnianej, był programem całkowitej likwidacji obszarniczej własności. Ziemia miała być oddana gminom składającym się z samodzielnych gospodarstw chłopskich. To przypominało gminno-socjalistyczne projekty rosyjskich „narodników". U jednych i u drugich program ten nie miał nic wspólnego z socjalizmem, gdyż w razie urzeczywistnienia dałby czysto kapitalistyczny, nieskrępowany rozwój wsi z nieuniknionym rozwarstwieniem chłopstwa, z tymi konsekwencjami, które przynosi nacjonalizacja lub przekazanie chłopom ziemi na własność. „Lud Polski" i późniejsi „narodnicy" rosyjscy, przeklinając ustrój burżuazyjny, zaprzeczając mu prawa do istnienia i postępowości społecznej, bezwiednie propagowali obiektywnie najbardziej postępowy i konsekwentny rodzaj kapitalizmu.

W „Ludzie Polskim", izolowanym, samotnym wśród innych niechętnych mu emigracyjnych organizacyj, gnębionym nędzą i wegetacją emigracyjną z dala od kraju, wyrosło coś, co byśmy dzisiaj nazwali „sekciarstwem". W swym manifeście, ogłoszonym po wyjściu sekcji Portsmouth z Towarzystwa Demokratycznego i przyjęciu nazwy „Lud Polski", odżegnywano się od ojczyzny głosząc, że „sami jesteśmy inną, przeciwległą wam ojczyzną" — gdyż ojczyzna nie chciała rozwijać się według ich utopijnych marzeń i pozostając krajem obszarniczej niewoli, obiecywała stać się krajem „koncentracji ziemi chłopskiej w rękach chytrych spekulantów". Postawa ta była już skutkiem nienormalnych warunków emigracyjnych.

NOWE POGLĄDY — NOWI LUDZIE

Lecz oto w kraju odpowiednikiem „Ludu Polskiego" był szeroki, rozpowszechniony we wszystkich zaborach ruch radykalno-demokratyczny. Spisek Ściegiennego, „Związek Narodu Polskiego" w Królestwie, krakowski „Naród Polski", szereg innych drobnych organizacji w Kongresówce i Krakowskim, wreszcie najbardziej rozgałęziony „Związek Plebejuszów" Stefańskiego w Poznańskim, publicystyczna i polityczna działalność Dembowskiego — były to różne przejawy jednego ruchu. Wszędzie widzimy tu śmiałą, radykalną, „plebejuszowską" propagandę demokratyczną w interesach chłopstwa i socjalistyczne idee pokrewne tym, które głosił „Lud Polski", w rodzaju „wspólnej własności ziemi", „gmin socjalistycznych" itd.

Nowe idee i nowi ludzie — przeważnie rzeczywiście z ludu. Inteligencja spośród mieszczaństwa i zdeklasowanej szlachty, ze środowiska urzędniczego, rzemieślnicy, wyrobnicy, nawet chłopi. Pierwszy raz w Polsce ruch radykalny demokratyczny wybija się na czoło, jest prężny i żywotny organizacyjnie, jest najaktywniejszą siłą w walce o niepodległość. Na porównaniu z tym ruchem źle wychodzą nieudolne i niezdecydowane wysiłki poszczególnych drobnych ośrodków szlacheckich.

Powstanie czynnej demokracji ludowej dążącej do tego, aby oprzeć się wyłącznie na masach chłopskich i biednym ludzie miejskim — robotniczym i rzemieślniczym, to najwybitniejsze zjawisko w życiu polskim owego czasu.

I tu, jak w „Ludzie Polskim", występuje w utopijno-socjalistycznej szacie dążenie do konsekwentnego, burżuazyjnego przekształcenia wsi. Przypomnijmy sobie, że wiele dążeń klasowych pokutowało wtedy jeszcze w utopijnych poczwarkach. Czerwcowe salwy 1848 roku w Paryżu zapoczątkowały wyłuskiwanie się wyraźnych pozycyj i programów z tych pięknych mgiełek

Tylko że w Polsce te naiwne, utopijne marzenia szły w parze z szeroką realistyczną i życiową propagandą demokratyczną i tu nie przeciwstawiał się im trzeźwy realizm socjalizmu naukowego, który właśnie wtedy próbował sił na arenie politycznej w Niemczech i we Francji. Toteż wszystkie radykalne elementy społeczne szły tutaj za Dembowskim, pobudzając go do śmiałości i konsekwencji.

Nie przypadkowo „prawo wszystkich do pracy" — hasło Związku Plebejuszy i krakowskiego powstania (w Krakowie uchwalono nawet stworzenie warsztatów narodowych), w dwa lata później zabrzmi na ulicach Paryża jako pierwsze społeczne żądanie proletariatu.

PRZYJEZDNI WODZOWIE I TUBYLCY

Dla emisariuszy Towarzystwa Demokratycznego, dla Mierosławskiego, demokracja krajowa musiała okazać się zbyt radykalną. A przecież i tu i tam głoszono rewolucję społeczną, grożono gniewem walczącego ludu. Jeszcze jeden przykład tego, że ogólne deklaracje noszą różną i sprzeczną treść.

Demokracja radykalna rewolucję społeczno-wyzwoleńczą rozumiała jako rewolucję chłopską, rewolucję agrarną, skierowaną przeciwko szlachcie ziemiańskiej. Zamierzano odebrać c a ł ą ziemię obszarnikom. W tej walce chłop, rzemieślnik, wyrobnik miał być główną i decydującą figurą, on miał jej nadać tendencję społeczną, kierunek, rozmach i hasła, miał jej zaszczepić specyficzną chłopską taktykę, ujawniającą się w partyzantce. To byli pierwsi w Polsce „ludzie dobrej woli", co pewni byli swej bazy społecznej i nie bali się spalić za sobą mostów pojednania z klasą ekonomicznie panującą, z obszarnikami. Uosobieniem tej konsekwencji politycznej był Dembowski — nieubłagany wróg „tchórzliwej i leniwej szlachty ziemiańskiej", szczególnie galicyjskiej. Wiedział on co myśleć o patriotyzmie tej szlachty, zawsze gotowym ustąpić przed zoologiczną nienawiścią do swego — polskiego chłopa. Znienawidzony też przez ziemiaństwo za „czerwoność" z bliska obserwował leżącą u podstaw życia społecznego i wzmagającą się wewnętrzną walkę między chatą a dworem. Jeszcze na długo przed „rzezią galicyjską" Dembowski zdawał sobie sprawę z tego, jakie nieodwracalne rezultaty może sprawić wzywanie chłopów do walki z pańskiego przedsionka — tego samego, gdzie chłop niejednokrotnie brał baty.

Na przygotowawczym zjeździe w Krakowie 26 stycznia krajowcy bronili partyzantki. Ale Mierosławski razem z hasłami rewolucji społecznej przywiózł z Paryża organizacyjny plan tej rewolucji — doktrynę wojny regularnej. Był to schemat wielkich rewolucyjnych armii na wzór armii Rewolucji Francuskiej. Jak kiedyś zarzucał Lelewelowi, że chce „rozwodnić rewolucję w partyzantce", tak teraz zdecydowanie sprzeciwił się formowaniu oddziałów partyzanckich — tej jedynej w swoim rodzaju formy, w której przejawia się rewolucyjna inicjatywa ludowa. Plan Mierosławskiego nie uwzględniał inicjatywy ludowej. Żołnierz-chłop, skupiony w wielkie masy, formowany w jednostki wojskowe, miał być obowiązany „dyscypliną i posłuszeństwem". Względem kogo? Naturalnie względem wykwalifikowanych oficerów ze szlachty. Tym miały przysługiwać prawa. Przede wszystkim prawo inicjatywy. Chłopom-żołnierzom „pozostają tylko obowiązki". Tak mówił Mierosławski na zebraniu TD z okazji czternastej rocznicy Powstania Listopadowego, rozwijając swój plan przyszłej rewolucji. Rola mas ludowych miała być sprowadzona do „pasywnych warstw podnoszonych z martwoty".

Sądząc z tego wszystkiego, Mierosławski wbrew teoretycznym deklaracjom TD w planach praktycznych nie brał w rachubę wojny społecznej, która rozpęta się wewnątrz wojny wyzwoleńczej i o którą tak zabiegał Dembowski.

Toteż emisariusze Towarzystwa Demokratycznego, co nie przeszli realnej szkoły krajowej, przywieźli do kraju obok deklaracji starą taktykę, która tym deklaracjom przeczyła. Taktykę negującą bezpośrednie docieranie do chłopa i propagandę wśród chłopstwa na dłuższą metę, taktykę, która przekazywała wszystkie kontakty z ludem szlachcie ziemiańskiej. Przecież instrukcje „Rządu Narodowego", utworzonego 26 stycznia, do którego nie dopuszczono nikogo z poznańskiej lewicy i Dembowskiego — nakazywały, aby szlachta dopiero po rozpoczęciu powstania ogłaszała swoim chłopom manifest powstańczy, zniesienie poddaństwa, przekazanie chłopom ziemi itd. Przecież właśnie dokładnie według tych instrukcyj postąpiono w Galicji... co wydało wiadome rezultaty.

Głosząc tedy rewolucję ludową, w praktyce znowu przygotowywano powstanie szlacheckie.

Toteż walka o wpływy, walka o kierownictwo, była w gruncie rzeczy walką o to, jaki społeczny, klasowy charakter będzie miało powstanie. Reakcja ziemiańska i kupiecka, nie mając własnego ośrodka wśród kierownictwa powstania, popierała tych, którzy zwalczali z prawa rewolucję agrarną, reprezentowaną przez demokrację krajową, popierała przedstawicieli TD. Nie przypadkowo przeciwko Dembowskiemu i Plebejuszom z oddziałami chłopskimi i górnikami Wieliczki występowali solidarnie emisariusze TD (Alcyato), arystokracja miejska i Tyssowski, który stanął na czele powstania, aby przyspieszyć jego zgubę.

Mierosławski, a po jego zaaresztowaniu emisariusze TD od początku nie zdawali sobie sprawy z realnego stosunku sił. Przyjechali jako wodzowie, nie przypuszczali, że im się ktoś przeciwstawi. Lecz papiery, przywiezione w walizkach emigrantów, nie są motorem rewolucji, powstań i na ogół poważnych przemian społecznych. Powstanie wybuchło w kraju, dojrzewało na gruncie krajowym w długich i ciężkich doświadczeniach polistopadowego pokolenia. Mimo poważnego wpływu TD, powstanie ujawniło taki stopień radykalizmu i śmiałości społecznej, na jaki stać było postępowe elementy społeczne w kraju, jakim odznaczała się krajowa konspiracja demokratyczna. Toteż prawdziwym wodzem powstania krakowskiego i duszą jego był przywódca krajowych organizacyj, który nawet nie zajmował żadnego kierowniczego stanowiska. Będąc tylko sekretarzem Tyssowskiego, Dembowski stał się istotnym kierownikiem i wyrazicielem ruchu. Marian Tyrowicz, który za naszych czasów wziął na siebie niewdzięczną rolę obrońcy krakowskiej prawicy, z nieprzyjaznym przekąsem mówi o Dembowskim, że był on „uosobieniem rewolucyjnego przewrotu". Charakterystyce tej nie można odmówić racji.

Już pierwsze dokumenty władz powstańczych świadczą o tendencjach kompromisowych w obozie burżuazyjno-szlacheckim Ów słynny manifest, który zdumiał Europę śmiałością i rozmachem, z jakim głosił równość społeczną, zniesienie przywilejów i wojnę narodową przeciwko trzem zaborcom — kwestię rolną rozstrzygał według programu TD.

MALARSTWO POLSKIE



ALEKSANDER KOTSIS (1836—1877) **Stary młyn** olej.

Aleksander Kotsis uchodzi za jednego z wybitniejszych kolorystów polskich.

Chłopi otrzymywali tylko ziemię przez nich uprawianą, a folwarki pozostawały nieruszone. Lecz ziemię tę chłopi w myśl dodatkowej instrukcji otrzymywali na własność **natychmiast**, a nie w dalekiej przyszłości, po powstaniu, w ustawodawczym okresie rewolucji, jak to projektował Mierosławski.

Tyssowski zafrasowany tym, jak szlachta da sobie radę z przymusowym i gwałtownym poniekąd przestawieniem gospodarstwa na nowe tory, poleca wójtom i księżom, aby skłaniali chłopów do pracy najemnej u panów.

Lecz oto 24 lutego zjawia się w Krakowie Dembowski. Nie sam. Prowadzi ze sobą zorganizowany oddział 400 górników Wieliczki. Fakt poniekąd symboliczny. I oto władze krakowskie poczynają przejawiać troskę już nie o szlachtę, ale o chłopa. W „Odezwie do Polaków umiejących czytać" Dembowski grozi karą śmierci wszystkim tym, którzy by zmuszali chłopa do wykonywania pańszczyzny lub danin. Nie jest zwolennikiem tego, aby chłopi czekali aż ich „podniosą z martwoty". Nawołuje ich, aby sami bronili swych praw, „przeciwko każdemu, kto by te prawa wydrzeć chciał nam, ludowi, nam chłopom, nam Polakom".

Gdy Tyssowski organizuje reakcję krakowską i stara się wytrzebić z władz powstania ślady ich „nieprawego pochodzenia", Dembowski organizuje Klub Rewolucyjny jako ośrodek nacisku dołów społecznych na kierownictwo. Stąd chce on pokierować „rewolucyjną ulicą", której panicznie boi się Tyssowski. Tu chce dać jej „zrozumienie rewolucji". Z inicjatywy Dembowskiego Republika Krakowska wydaje odezwę do Żydów — jako do „dzieci jednej ojczyzny", głosząc ich równość z Polakami w korzystaniu ze wszystkich praw i w ponoszeniu obowiązków.

Jak teraz, tak i sto lat temu, prawdziwą demokrację można było poznać po jej sprawiedliwym stosunku do kwestii narodowej i kwestii żydowskiej. Paskiewicz z niepokojem donosił Mikołajowi o rzadkim w Polsce zjawisku: „Zasługuje na uwagę, że Żydzi strzelali z okien w Krakowie i okazali życzliwość dla buntu".

„RZEŹ GALICYJSKA" W DWÓCH ASPEKTACH

Wiadomości z Galicji przejmowały zgrozą Tyssowskiego i cały obóz „umiarkowany" (nie wiadomo dlaczego w naszej literaturze reakcję społeczną nazywa się zwykle „umiarkowanymi", chociaż jest ona właśnie **nieumiarkowanie** antyludowa i antydemokratyczna). Inaczej przyjął te wiadomości Dembowski. Nie przeraziły go przekazywane z ust do ust wieści o okrucieństwie chłopskim. Zajścia galicyjskie uważał za „normalne porachunki" chłopskie za krzywdy doznane, uważał je za normalny odwet klasowy. Nie zawahał się publicznie oświadczyć to w swym klubie. Wypadki galicyjskie oceniał jako świadectwo pogłębienia ruchu chłopskiego. Jak różne były zdania Tyssowskiego i Dembowskiego przed powstaniem, jeśli szło o reformy społeczne, tak różny był ich stosunek do powstania Szeli. Dembowski nigdy nie podzielał zdania „dyktatora", że chłopi muszą potulnie czekać aż ich obszarnicy uszczęśliwią „stopniową" reformą, najbardziej odpowiadającą obszarniczym interesom. Uważał, że uwłaszczenia winni chłopi dokonać sami kosztem szlachty. Dembowski całkowicie jest po stronie chłopstwa i pozwala sobie szydzić ze szlachty galicyjskiej. Pisze w „Dzienniku Rządowym" nr 1: „Szlachta się dziwi, że naród za nią nie idzie w bój. Lud ma za nią iść, gdy ona nie głosi mu rewolucji społecznej, nie umiejąc albo nie chcąc jej głosić". W innym artykule piętnuje tchórzliwość szlachty, kiedy to pod Wieliczką prosiła, by nie głosić rewolucji, „bo lud uderzy na nas i zwiąże nas". Nie widział on zdrady narodowej w tym, że chłopi ruszyli przeciwko polskiemu ziemiaństwu, że okazali się narzędziem austriackiego zaborcy. Całą winę za to Dembowski kładł na karb szlachty galicyjskiej. Miał niezachwianą pewność, że obóz niepodległościowy przez zerwanie z obszarnikami może zdobyć sobie w chłopie sojusznika.

Optymizm Dembowskiego nie był słowny. Przejawiał się w czynnym i konsekwentnym dążeniu do tego, aby wyprowadzić powstanie za mury miejskie i wyjść w tereny chłopskie. Zwalczał strusią politykę Tyssowskiego i jego otoczenia, gdzie szykowano się do regularnych batalii według przykazań Mierosławskiego, zapominając o jego głównej zasadzie: „Rewolucja, która nie atakuje — ginie". Bezczynnie, z przerażeniem oczekiwano chłopskiej ofensywy z Galicji, nie usiłując wpłynąć na bieg wypadków.

Niezachwiana wiara w demokratyczne intencje chłopstwa wyprowadziła właściwego wodza demokracji ludowej, wodza wojny chłopskiej za mury miasta, w celu dotarcia do chłopów. Uważał się przecież za ich ideowego i politycznego reprezentanta. Czyn ten przypłacił życiem. Istotne dla niego było, że krakowskie powstanie głosiło to samo, o co bili się ze szlachtą chłopi Szeli. Za przypadkowe zaś uważał, że ruch krakowski zderzył się z ruchem chłopskim, że ruch chłopski stał się narzędziem zaborcy.

Realne wypadki dowiodły jego głębokiej racji. Dowiodło jej chłopstwo pobliskich wiosek, stykające się bezpośrednio z demokratyczną propagandą, które szło za Krakowem i przyszło bronić Krakowa. Dowiodły jej i późniejsze tragiczne relacje powstańców galicyjskich — jeńców Szeli, do których chłopi mieli głęboki żal, „że im wcześniej nie powiedzieli o co walczą", dowodem tej racji były dalsze koleje powstania Szeli, które przecież nie skończyło się tylko rzezią szlachty pod austriacką komendą. Chłopi po omacku, powoli w toku walki odnajdywali swoją drogę, skoro ich prawdziwi wodzowie do nich nie dotarli. I oto wkrótce już zupełnie wyraźnie zaczynają przeważać tam żądania społeczne, klasowe. Walczą o to samo, czego dla nich, lecz bez ich wiedzy żądał w Krakowie Dembowski: o zniesienie poddaństwa i pańszczyzny, o ziemię na własność, zniesienie monopolu solnego i tytoniowego. To już walka nie tylko przeciwko polskiemu ziemiaństwu, ale i przeciwko „cesarskim". Już w kwietniu 1846 roku wojsko austriackie wystąpiło przeciwko swoim „sprzymierzeńcom". Dawno zduszono już powstanie krakowskie, a walka w Galicji wciąż trwała i właściwie skończyła się dopiero po 2 latach.

Postać Szeli, tego małego galicyjskiego Pugaczowa, cały chłopski ruch 1846 roku czeka jeszcze na swego obiektywnego, sprawiedliwego badacza, który powie o nim całą prawdę i zdyskwalifikuje ostatecznie koncepcję „zbrodni chłopskiej".

NIE STARZEJĄCA SIĘ POLEMIKA

3 marca 1846 roku na puste, przyczajone ulice Krakowa wstąpiły aż trzy „zwycięskie armie": Klein i Benedeck na czele wojsk austriackich, carski oddział pod dowództwem niejakiego Paniuszyna oraz pułk pruski. Nikogo z zaborców nie zabrakło, aby zamanifestować swój udział w zwycięstwie nad „groźną" Republiką Krakowską. Nie, o nich nie można powiedzieć, że nie docenili wypadków krakowskich. We Wiedniu i w Petersburgu z jednakowym niepokojem śledzono co się dzieje w tej „kropce na mapie". I teraz skwapliwie stwierdzono to, co starano się udowodnić od lat — buntowniczy, niebezpieczny charakter maleńkiej republiki. Po czym wcielono ją do Austrii.

W niemniejszym stopniu doceniono doniosłość wypadków krakowskich w obozie międzynarodowej demokracji. Tu spotkano je jako nową kartę w dziejach naszego narodu, widziano w nich zwiastuna wielkich porachunków, uważano, że dają one wzór dla innych krajów.

Najbardziej chyba zbagatelizowano powstanie krakowskie w naszej ojczystej literaturze. Zamazało się je rozpamiętywaniem „krzywdy szlacheckiej" i ponurymi rozważaniami o dzikim i zdradliwym żywiole chłopskim. Odsunęło się w cień poryw krakowski, dający przecież odpowiedź na wiele pytań, które powstały w związku z ruchem Szeli.

Jak nasza prawica dziewiętnastego wieku, Kalinka (radykał w 1846 r.), Kopff i inni, tak samo i prawica nam współczesna — Tyrowicz, mianują powstańców krakowskich, a szczególnie Dembowskiego, komunistami. Widzimy tedy, że postępowa demokracja polska XX wieku i jej poprzednicy sprzed 100 lat są ofiarami identycznych insynuacyj. Reakcjoniści sprzed wieku nawet nie przypuszczali, jak się przysłużą swym wynalazkiem spadkobiercom swoim z epoki rozbicia atomu. Oto jeszcze jeden przykład, jak technika bezprzykładnie wyprzedza postęp ideologiczny. Ale to poszanowanie tradycji przez dzisiejszych naszych przeciwników ułatwia nam polemikę. Możemy przeciwko nim zastosować sarkazm starego Marxa, skierowany pod adresem tych, którzy złorzeczyli polskiej demokracji 1846 roku. Mówił on, że jeśli „krakowską rewolucję" nazywa się komunistyczną za to, że chciała „zerwać łańcuchy feudalizmu, wyzwolić własność pańszczyźnianą i zamienić ją na własność wolną, własność nowożytną", za to, że prowadziła narodową walkę wyzwoleńczą, że „chciała ustanowić rząd demokratyczny" — to wtedy należałoby nazwać komunistami tych, co przeciwstawiali się napoleońskim podbojom, wtedy należałoby „posądzić o komunizm milionerów Berna i New Yorku" — gdyż „komunizm" krakowskich demokratów polegał na tym, że chcieli urzeczywistnić w Polsce to, co było dniem powszednim w innych krajach.

OCZAMI REWOLUCYJNEJ EUROPY

Po upływie dwóch lat, w pierwszych dniach rewolucji lutowej 1848 roku, w Brukseli przedstawiciele międzynarodowej demokracji obchodzili uroczyście drugą rocznicę krakowskiego powstania. Polskę reprezentował Lelewel, europejską lewicę Marx i Engels. Był to jeszcze jeden przejaw głębokiego interesowania się demokracji europejskiej naszymi sprawami. Zainteresowanie to potęgowało się w ruchu europejskim z prawa na lewo.

Marx i Engels, którzy reprezentowali specjalne i ogólne, społeczne i polityczne interesy proletariatu, aktywnie i czynnie uczestniczyli we wszelkich walkach demokratycznych. Popierali gorąco wszystko, co kontynuowało dzieło Francuskiej Rewolucji, co zwalczało reakcję w dziedzinie gospodarczej, społecznej i politycznej. Z pedantyzmem badaczy rozszczepiali partie, ruchy głoszące demokratyczne prawdy, rewolucje burżuazyjne na składowe nurty społeczne, które jednoczyła walka przeciwko wspólnemu wrogowi.

A więc odróżniali oni czynniki liberalno-burżuazyjne, tak rozmaite w odcieniach i barwach — czy to typu Cavoura, czy Lamartine'a. Czynniki te dążyły przede wszystkim do zdobycia władzy i wpływów, zaniedbując zasadnicze problemy społeczne; skłonne były do ugody z wrogami rewolucji kosztem swych wiernych i ofiarnych sojuszników — milionów szarych ludzi wsi i miasta, Otóż w tych milionach Marx i Engels widzieli prawdziwych autorów przemian społecznych. Przedstawicielom tych dołów rzadko udawało się wedrzeć na parlamentarną trybunę, a przecież najpełniej reprezentowali naród. Wspólne demokratyczne dążenia łączyły masy chłopskie, rzemieślnicze i robotnicze. Najistotniejszą cechą tej epoki rewolucji była antyfeudalna walka chłopa o własność ziemi, o niezależność gospodarczą i społeczną, o nieskrępowane prawo tracenia i nabywania. Szczególnego znaczenia walka chłopska nabierała w tych krajach, gdzie rewolucja agrarna miała najwięcej do zrobienia.

Nie kwieciste deklaracje parlamentarne, ale właśnie chłopska walka z feudalizmem stanowiła istotną treść rewolucyj mieszczańskich i od niej, od tego dolnego nurtu zależały siły napędowe, rozmach rewolucji i realne rezultaty ustaw przyjmowanych przez parlamenty. Bez wtargnięcia do polityki tych milionów ignorantów rewolucja bywała tylko „wierzchołkowa", bardziej efektowna niż skuteczna w swych wynikach (jak na przykład lipcowa rewolucja 1830 roku i młodoturecka rewolucja 1908 roku).

Do Engelsa należą słowa, które dopiero od roku straciły znaczenie postulatu socjalnego dla naszego kraju: „Wielkie rolnicze narody między Bałtykiem a Morzem Czarnym mogą się uratować od patriarchalno-feudalnego barbarzyństwa tylko drogą rewolucji agrarnej, która czyni z poddanych lub zależnych chłopów wolnych właścicieli ziemi". Dlatego też bacznie obserwując w przeciągu 50 lat z Paryża, z Brukseli, z Londynu naszą walkę o odrodzenie narodowe, ci dwaj — Marx i Engels, poddają surowej analizie każdy epizod tej walki właśnie z punktu widzenia wagi gatunkowej sprawy chłopskiej w polityce obozu kierującego. Oto dlaczego o powstaniu listopadowym Engels mówił, że nie było ono „ani rewolucją narodową", „ani rewolucją społeczną", że było „rewolucją konserwatywną".

Niemniej jednak i ta „konserwatywna rewolucja", jak każdy polski poryw celem zdobycia niepodległości, był z ich punktu widzenia, z punktu widzenia całej demokracji, zjawiskiem obiektywnie rewolucyjnym, niezwykle dodatnim dla ogólnego postępu. To wynikało z sytuacji Polski w systemie politycznym ówczesnej Europy. Nad demokratycznym ruchem europejskim ciążyła ręka Mikołaja i jezuityzm Metternicha. Reakcyjne trójprzymierze było zjednoczone, związane wspólną zbrodnią rozbiorów i wspólnymi kłopotami oraz rywalizacją w zdobytym kraju. Polska była achillesową piętą zjednoczonej reakcji. Ile to razy polskie powstania ratowały rewolucje europejskie, szczególnie francuskie, przed carską interwencją! Marx i Engels wraz z całą postępową Europą oczekiwali, że najboleśniejszy cios reakcyjnemu sojuszowi będzie zadany w tym jego najczulszym ogniwie i że będzie on sygnałem dla Europy.

Zdając sobie sprawę z przeważających sił zaborców, Marx i Engels wiedzieli, że Polska może zwycięsko wyjść z walki tylko wtedy, gdy uruchomi wszystkie potencjalne siły narodu. Lecz uruchomić ich nie można było oglądaniem się wstecz, nawracaniem do Polski 1772 roku — można to było osiągnąć tylko walcząc o nowy układ społeczny, o demokrację.

Jakie miejsce zajmowała Polska w „zagranicznej polityce ludów", przeciwstawiającej się polityce rządów, ujawniło się jaskrawo w 1848 roku, gdy rewolucyjne tłumy we wszystkich stolicach świata walczyły pod hasłem „wolność Polsce".

I oto w 1846 roku w krótkim, lokalnym krakowskim powstaniu wyrosła sylwetka nowej Polski. Marx i Engels nie pytali, ilu chłopów brało udział w powstaniu. Mając mały zasięg i krótko trwając, powstanie to nie mogło być rzeczą zasadniczą. Było rzeczą oczywistą, że powstanie nie ogarnęło głębszych warstw ludowych. Lecz nie nazywali oni powstania, jak niektórzy nasi historycy, „kilkudniową ruchawką". Istotne i ważne było dla nich to, że tu na chłopa liczono, że głoszono mu rewolucję agrarną i własność ziemi, wcielając w życie rozpaczliwe nawoływania Szanieckiego i Lelewela sprzed 15 lat.

Istotne i zasadnicze było to, że nieliczni powstańcy krakowscy występowali w imieniu całej Polski i że w swej akcji rozwijali dojrzały program **rzeczywiście** ogólnonarodowej i **rzeczywiście** ludowej demokratycznej rewolucji.

Polska, która doszła do głosu w 1846 roku, była sojuszniczką demokratów z „Neue Rheinische Zeitung", i z „Młodej Europy", i z „Towarzystwa Demokratycznego" w Brukseli i ze „Związku Komunistów" — już nie tylko z racji obiektywnych rezultatów swej walki, ale i dzięki jej subiektywnej treści, gdyż zwiastowała, że w ognisku walki wyzwoleńczej na wschodzie Europy powstaje ognisko rewolucji demokratycznej. Rewolucja agrarna w Polsce miała wskazać drogę innym słowiańskim narodom, miała wywołać rewolucję u ciemięzców. To była prawdziwa, realnie możliwa „wielka misja cywilizacyjna Polski" w XIX wieku, póki spały jeszcze społeczne siły Rosji... Misja, z której się Polska w ostatecznym rezultacie nie wywiązała, a której bliskie spełnienie zwiastowało — zdawało się — powstanie krakowskie.

Imponowała lewicy europejskiej „prawie proletariacka śmiałość powstania".

„Tutaj" — mówił Marx — „nie było żadnych wahań, żadnych skrupułów; atakowano trzy mocarstwa równocześnie, proklamowano wolność chłopów, reformę agrarną, emancypację Żydów, nie troszcząc się ani przez chwilę o to, czy to może w jakikolwiek sposób naruszyć interesy arystokracji". Śmiałość ta wynikała z bezkompromisowości w kwestii zasadniczej.

Staszyc piętnował ustrój pańszczyźniany, ubolewał nad chłopem, szlachcie urągał i groźnie przepowiadał ostateczną klęskę — a jednocześnie tejże szlachcie kadził i schlebiał, prosił, aby zechciała być filarem społeczeństwa. Kościuszko marzył o 300-tysięcznej chłopskiej armii, ale hamował potencjalne możliwości powstania przez niezdecydowanie: lud zagrzewał, ale i ziemianom do sumienia przemawiał i w „Uniwersale połanieckim" wykazał fatalną niewiedzę o podstawie społecznej swego ruchu. Potem był wiadomy stosunek sił w powstaniu listopadowym, gdzie słabe demokratyczne skrzydło dalekie było od bezkompromisowości. I oto w krakowskim powstaniu uwidocznił się wpływ czynników bezkompromisowych, zdecydowanie i ostatecznie liczących na lud i grożących śmiercią szlachcie za wznowienie pańszczyzny. Tę społeczną bezkompromisowość Krakowa pokazywał Marx Europie w przededniu „wiosny ludów" — jako przykład, jak trzeba walczyć o demokrację.

Powstanie to w ślad za ruchem tkaczy śląskich było groźnym i ostrzegającym znakiem na chmurnym europejskim niebie.

Powstaniu sprzyjał ogólnoeuropejski rewolucyjny przypływ społeczny, ogólny wzrost radykalizmu. Lecz w Polsce nie było dojrzałej burżuazji, która na zachodzie pretendowała do roli przywódcy narodu. Na skutek niedojrzałości krajowych stosunków, na skutek niesprecyzowanych przeciwieństw społecznych, ruch Dembowskiego, ruch plebejsko-ludowy ujawnił jednocześnie: konsekwentne dążenie do ustroju burżuazyjnego i w „pierwszej bezradnej formie" socjalistyczne tendencje górników i rzemieślników, wyrażające „tylko konieczność usunięcia tego antagonizmu klas, który dopiero zaczyna się wtedy rozwijać i wiadomy jest im (masom ludowym — CB) w jego początkowej, nieskrystalizowanej nieokreśloności".

Stąd „socjalistyczne cechy powstania", które nie zmieniały jego ogólnej, burżuazyjno-demokratycznej treści.

Już wtedy polska demokracja ludowa, robiąc próbę ujęcia w swoje ręce losów narodu i pokierowania nieuniknionym przewrotem burżuazyjnym, nakładała nań pieczęć swego społecznego radykalizmu. Po stu latach w warunkach ekonomicznego, politycznego i narodowego bankructwa klasy polskich kapitalistów, która nie umiała w przeciągu wieku urzeczywistnić konsekwentnej demokracji — znowu do głosu doszła demokracja ludowa. Również teraz nie zadowala jej burżuazyjny liberalizm; w swych czynach demokracja ludowa sięga dalej niż liberalizm burżuazyjny.

Panującym przesądom, że brak u nas („dzięki Bogu") tradycyj jakobińskich, że bezkompromisowość nie leży w charakterze naszego narodu, w którym zawsze przeważał sentyment ogólnonarodowy, że demokracja ludowa „to coś niesłychanego dla Polski" — przeczy historia ukazując nam naszych poprzedników. Czy okres rozkwitu tego nurtu ideowo-politycznego mniej zasługuje na uwagę niż na przykład okres pozytywizmu? A kto w Polsce zajmował się poważnie Kamieńskim, Dembowskim, Goslarem, Stefańskim i wielu, wielu innymi? Zajmijmy się i my naszymi poprzednikami.

Celina Bobińska

W poprzednim (66) numerze „Odrodzenia" z dnia 3 marca: **St. A. Majewski:** Kryzys strukturalny kapitalizmu. — **Marian Promiński:** Toreador i mściciel. — Malarstwo polskie (**Piotr Michałowski:** Don Kichot). — Z poezji amerykańskiej (przełożył **Stanisław Helsztyński**): **Witter Bynner:** Walt Whitman. **Edwin Curran:** Kolorowe wzgórza Arizony. **Michael Gold:** Dziwny pogrzeb w Braddock. — **Leonard Podhorski-Okołów:** Czy nie koniec bałamutnej legendy? Mickiewicz i pani Sobańska. — Malarstwo francuskie (**Gustave Courbet:** Drwal). — **Kazimierz Malinowski:** Muzeum Narodowe w 1945 r. — **Juliusz Kleiner:** Poemat Słowackiego o powstaniu warszawskim. — **Jan Alfred Szczepański:** Niebezpieczne związki. — **Irena Barowa:** Dzieje jednej przyjaźni. — **Jerzy Kirchmayer:** Miesięcznik wojskowy „Bellona". — **Stanisław Witold Balicki:** Odwiedziny teatralne. — **Marian Promiński:** Kronika filmowa.— **js:** Kronika kulturalna ZSRR. — **Ewelin Sitkowski:** O stację naukową Polskiej Akademii Umiejętności w Moskwie. — **Kazimierz Brandys:** Muzyka na ulicy św. Jana. — **fg:** Chrońmy biedaków przed szaleństwem! — Cztery prapremiery. — **Wojciech Natanson:** Eksperyment. — **Zygmunt Mycielski:** Z życia muzycznego w Krakowie. — Korespondencja (**Wiktor Hahn, Tadeusz Hołuj, Stanisław Ziembicki**). — 8 ilustracji. — 12 stron.

EUGENIUSZ WARGA

Angielsko-amerykański układ finansowy

Po długich, bo trzy miesiące trwających pertraktacjach, które kilka razy były bliskie zerwania, w początkach grudnia 1945 r. została ostatecznie podpisana umowa finansowa pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Anglią. Anglia dostała kredyt 4,4 miliardów dolarów. Z tej sumy 650 milionów dolarów przeznaczono do ostatecznego rozrachunku na podstawie umowy pożyczkowo-dzierżawnej, a w zamian za to na własność Anglii przechodzi amerykańskie wojenne wyposażenie znajdujące się na terytorium Anglii. Pozostałe 3,75 miliardów dolarów może Wielka Brytania wykorzystać w dowolnych ratach do końca 1951 roku. Procenty opłaca się tylko od tych sum, jakie do tego czasu będą faktycznie użytkowane.

Z czysto finansowego stanowiska warunki wielkiej pożyczki, którą Anglia dostaje od Stanów Zjednoczonych, są dość korzystne. Są one o wiele bardziej dogodne niż warunki pożyczek, które otrzymały od USA Francja, Belgia i Holandia: 2 procent zamiast $2^{5}/_{8}$ w innych państwach, 50-letni termin zamiast 30-letniego, początek spłaty dopiero po 5 latach i czasowe odroczenie wypłat procentów w latach, w których by nie pozwalał na to budżet Anglii.

W czasie pertraktacyj, jak widać z angielskiej i amerykańskiej prasy, angielska strona groziła swemu partnerowi dwoma zarządzeniami gospodarczo-politycznymi.

Po pierwsze: odmową ratyfikacji układu w Bretton Woods. Anglia miałaby wtedy możność zmniejszyć wedle własnego uznania podkład złotowy funta szterl. w większych rozmiarach niż to jest dopuszczalne w ramach układu w Bretton Woods. W ten sposób udałoby się tylko czasowo podwyższyć wydajność konkurencyjną angielskich towarów w stosunku do amerykańskich na światowym rynku. W tych warunkach Anglia mogłaby także ochronić obecny system bloku szterlingowego.

Po drugie: zmniejszeniem angielskich zakupów w Stanach Zjednoczonych do niezbędnego minimum.

Anglia mogłaby dość prędko urzeczywistnić te zamiary. Kupowała ona przed wojną 3—5 razy więcej towarów aniżeli wywoziła do Stanów. W 1934 roku Anglia, wedle danych amerykańskiego „Foreign Commerce Yearbook", zakupiła w Stanach Zjednoczonych towarów na sumę 413 milionów dolarów, a sprzedała im tylko na sumę 89 milionów. W r. 1935 sumy te odpowiednio wynoszą 429 i 112 milionów, w 1936 roku — 464 i 137 milionów dolarów. Większą część towarów, które w przedwojennych latach Anglia importowała z Ameryki, mogła była ona nabyć w swoich dominiach albo w krajach, którym mogła płacić własną walutą. Tak na przykład w 1936 r. Anglia importowała ze Stanów Zjednoczonych żywność, tytoń, wełnę, naftę. Tylko te cztery grupy towarów, które można by było bez większych trudności dostać w innych krajach, przedstawiają więcej niż połowę angielskiego importu ze Stanów Zjednoczonych. Ograniczenie zakupów przez Anglię w Stanach Zjednoczonych odbiłoby się poważnie na amerykańskim eksporcie, ponieważ Anglia importuje z Ameryki więcej, aniżeli jakiekolwiek inne państwo w świecie.

Widocznie te okoliczności popchnęły Amerykanów do udzielenia Anglii pożyczki na tak dogodnych finansowych warunkach.

Mimo to w Anglii nie widać szczególnego zachwytu z powodu podpisania umowy, ale przeciwnie, dostrzega się dość powszechne niezadowolenie. Ogólny nastrój najlepiej wyraził tygodnik „Economist", który pisał, że umowę musi się przyjąć, ponieważ nie ma innego, lepszego wyjścia z obecnej niepomyślnej sytuacji. Taki sam nastrój przeważał w angielskim parlamencie, kiedy omawiano zagadnienie pożyczki. Nie jest wykluczone, że ratyfikacja umowy napotka na trudności również na amerykańskim kongresie. Trzeba mieć na uwadze, że Francji, Belgii i innym państwom pożyczki zostały udzielone nie przez amerykański rząd, lecz przez państwowy bank eksportowo-importowy w ramach jego „normalnej działalności", a zatem nie podlegały zatwierdzeniu przez kongres.

Niezadowolenie Anglików opiera się częściowo na przeświadczeniu, że chociaż USA i Anglia prowadziły wspólną wojnę przeciw napastnikom faszystowskim, jednak brzemię wojny, zwłaszcza w pierwszym jej okresie spoczywało w większej mierze na barkach Anglii. W latach 1940—1941, to jest do chwili formalnego przystąpienia USA do wojny, Anglia broniła od niemieckiej napaści nie tylko własnych interesów, ale i interesów Ameryki. Mimo to musiała opłacać nabyte w Stanach Zjednoczonych towary i materiały, konieczne dla prowadzenia wojny, złotem, dolarami i zagranicznymi papierami wartościowymi. Dopiero wtedy, gdy zapasy złota i walut Anglii, które z początku wojny liczyły 600 milionów funtów szterlingów, spadły do minimalnej sumy 3 milionów funtów szterlingów, zaczęły się dostawy na podstawie umowy pożyczkowo-dzierżawnej. Wydatki wojenne, włączając tutaj straty z powodu wojny podwodnej i bombardowań, okazały się dla Anglii o wiele większe niż dla Stanów Zjednoczonych. Ostatecznie Stany Zjednoczone liczą jednego zabitego w wojnie w przybliżeniu na każdych 500 ludzi, Anglia zaś na — 100. W takich warunkach angielska opinia publiczna przyjęła nieoczekiwane zawieszenie dostaw na podstawie umowy dzierżawno-pożyczkowej zaraz po zakończeniu wojny jako wyraźną niesprawiedliwość. Z niemniejszą goryczą podkreśla się fakt, że ze wspólnie wygranej wojny Anglia wychodzi obciążona na 50 lat w stosunku do swego sojusznika lub jak wyraża się „Economist", Anglia powinna w ciągu 50 lat wpłacić corocznie 140 milionów dolarów za to, że walczyła w czasie wojny ramię przy ramieniu ze Stanami Zjednoczonymi.

Jeszcze więcej zastrzeżeń wywołały te warunki umowy, które dotyczą nie wyłącznie finansowej, ale ogólnoekonomicznej strony porozumienia. Niestety nie mamy przed sobą pełnego tekstu umowy. Ale z wynurzeń prezydenta Trumana i premiera Attlee, jak również z wystąpienia podsekretarza stanu USA Claytona wynika, że te warunki znacznie zmniejszają gospodarczo-polityczną swobodę Anglii w jej współzawodnictwie ze Stanami Zjednoczonymi zmierzającymi do owładnięcia rynkiem zbytu zarówno na światowej arenie, jak szczególnie w ramach Brytyjskiego Imperium kolonialnego.

Sądząc z tych wypowiedzi, Anglia powinna ograniczyć stosownie ochronne taryfy w granicach imperium i nie dopuszczać do ich podwyższenia bez zgody innych zainteresowanych państw, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych. Anglia powinna ratyfikować umowę w Bretton Woods i w ten sposób wyrzec się swobody manipulowania parytetem funta szterlingów.

Aby w pełnej mierze ocenić ciężar tych ekonomicznych warunków finansowej umowy dla Anglii, należy mieć na uwadze różnicę w gospodarczym położeniu państw po zakończeniu wojny.

Obydwie strony są na równi zainteresowane w podwyższeniu eksportu na światowym rynku. Jednak warunki ku temu są w Stanach Zjednoczonych i Anglii zupełnie odmienne.

Stany Zjednoczone chcą podwyższyć swój eksport, ponieważ zdolności wytwórcze w czasie wojny bardzo wzrosły, a wewnętrzny rynek przy istniejącym podziale dochodu narodowego zdoła wchłonąć tylko część wytworzonych towarów. Stąd wypływa groźba jeszcze większego, chronicznego bezrobocia, jeszcze większego kryzysu i dłuższej fazy depresji aniżeli w okresie przedwojennym. Amerykańska polityka ekonomiczna szuka w znacznym rozszerzeniu eksportu środka do usunięcia albo przynajmniej do osłabienia trudności gospodarczych zagrażających krajowi.

Anglia zaś w czasie wojny straciła znaczną, w przybliżeniu czwartą część majątku narodowego — około 6 miliardów funtów szterlingów. Ze swoich zagranicznych inwestycyj kapitałowych, ocenianych z początku wojny na 4 miliardy funtów szterlingów. Anglia, wedle oceny pisma „Economist" (28 lipca 1945 roku), straciła nie mniej niż 2 miliardy, a wewnętrzne długi Anglii w kwietniu 1945 roku wynosiły 3 miliardy funtów szterlingów. Oznacza to, że w następstwie zmniejszenia zysków z inwestycyj kapitału za granicą i z innych rodzajów tak zwanego „niewidzialnego eksportu", płatniczy bilans Anglii stał się rażąco bierny.

W przedwojennych latach Anglia opłacała prawie połowę importowanych zza granicy towarów nie angielskimi towarami, lecz kosztem tego „niewidzialnego eksportu": dochodami z inwestycyj kapitału za granicą, z żeglugi itd. Te wszystkie źródła dochodów skutkiem wojny znacznie się zmniejszyły. To oznacza, że Anglia powinna w powojennym okresie wywozić więcej towarów niż przed wojną, po to, żeby zabezpieczyć sobie konieczny import towarów zza granicy — przede wszystkim surowców i żywności. W istocie Anglia powinna wywozić jeszcze więcej, ponieważ dla zabezpieczenia podwyższonego eksportu angielskich towarów potrzebuje ona jeszcze w większej ilości odpowiednich surowców.

Ponadto winna ona jeszcze doprowadzić do normalnego poziomu zapasy surowca i towarów w kraju.

W końcu, realizacja finansowej umowy ze Stanami Zjednoczonymi oznacza dalsze obciążenie bilansu płatniczego Anglii więcej niż na 35 milionów funtów szterlingów rocznie.

W przedwojennym dziesięcioleciu ogólny eksport Anglii wynosił przeciętnie 400 milionów funtów szterlingów. Teraz musi Anglia wywozić minimalnie o 50% więcej niż przed wojną, aby zabezpieczyć konieczny poziom importu i wyrównać bilans płatniczy. Przy tym należy się liczyć, że potrzeba przywozu zboża i żywności będzie mniejsza, aniżeli przed wojną, jeśli uda się zachować osiągnięty w czasie wojny poziom produkcji rolniczej. Jeśli Anglii nie uda się zwiększyć swego eksportu o 50%, pozostaje jedyne wyjście — odpowiednie obniżenie stopnia spożycia ludności oraz stopy życiowej mas, co naturalnie nie może nie wywołać poważnych społecznych komplikacyj.

W ten sposób powiększenie eksportu jest dla Anglii jeszcze bardziej konieczne aniżeli dla Stanów Zjednoczonych, które mają zamiar rozszerzyć eksport nie dlatego, żeby więcej przywozić, lecz aby zabezpieczyć normalne funkcjonowanie przemysłu. W dążeniu Stanów Zjednoczonych do większego eksportu przy jeszcze mniejszym imporcie tkwi wewnętrzna sprzeczność, która może być przezwyciężona i to tylko czasowo — za pośrednictwem pożyczek, to jest drogą eksportu towarów bez ich bezpośredniego importu.

Dążenie obydwu anglosaskich państw do znacznego podwyższenia swego eksportu w porównaniu z przedwojennym poziomem natrafia na trudności związane ze zmniejszeniem siły nabywczej światowego rynku na skutek wojny światowej. W zniszczonych krajach kontynentalnej Europy i Azji odczuwa się w istocie naglące zapotrzebowanie na towary wszelkiego rodzaju. Ale to jest zapotrzebowanie, które się nie opłaca. Większa część zniszczonych państw nie posiada ani złota, ani towarów dla zrealizowania zakupów w Anglii lub w Stanach Zjednoczonych. Muszą one naprzód odbudować swój zniszczony aparat wytwórczy, aby osiągnąć możliwość produkowania towarów na eksport. W obecnych warunkach mogą one dokonywać większych zakupów towarów w anglosaskich krajach tylko w tym wypadku, jeżeli otrzymają wielkie długoterminowe kredyty. Ta okoliczność daje Stanom Zjednoczonym w ich walce konkurencyjnej na światowym rynku — szczególnie w latach najbliższych odbudowywania Europy — wielką przewagę nad Anglią. Stany Zjednoczone mogą, opierając się na swoim aktywnym handlowym i płatniczym bilansie i olbrzymim zapasie złota, dawać towary na kredyt, realizować eksport towarów pod postacią wywozu kapitału. Anglia przy swoim biernym bilansie ma możność zrealizować podobne dążenia tylko w skali bez porównania mniejszej.

Druga przewaga Stanów Zjednoczonych polega na tym, że mając w kraju ogromne zapasy surowca i rozporządzając bardziej udoskonaloną techniką produkcji i wyższą wydajnością pracy, Amerykanie produkują towary taniej (mimo znacznie wyższej płacy robotników), aniżeli Anglia. Szereg angielskich specjalnych komisyj, które odwiedzały Stany Zjednoczone w czasie wojny, stwierdził ten fakt w metalurgii, budowie maszyn, a szczególnie w przemyśle tekstylnym.

Trzecia przewaga polega na znacznie większej pojemności chronionego odpowiednimi cłami amerykańskiego rynku wewnętrznego, w porównaniu z rynkiem angielskim. To pozwala amerykańskim monopolom w razie konieczności wyzyskać dochody od sprzedanych towarów w kraju po cenach monopolowych i realizować dumping na rynku światowym. Należy przypomnieć, że w dziesięcioleciu przedwojennym Stany Zjednoczone eksportowały tylko 5—7 procent swojej przemysłowej produkcji.

Atutem przeciw tej przewadze Stanów Zjednoczonych jest dla Anglii system preferencji, który okazał się skuteczny jeszcze w okresie przedwojennym, zabezpieczywszy zupełnie pozycje metropolii na rynkach całego imperium.

Anglia trzymała się systemu wolnego handlu — który był bardzo wygodny dla niej w XIX wieku, kiedy była ona centrum przemysłowym świata — dość długo nawet po tym, gdy na skutek konkurencji Stanów Zjednoczonych, Niemiec i Japonii straciła swoje monopolistyczne stanowisko jako eksporter towarów przemysłowych. Gazeta „Times" tak pisała 16 października 1945 roku:

„Anglia nie wyrzekła się wolnego handlu z lekkim sercem; w rzeczywistości zrobiła to z wielką niechęcią w okolicznościach, za których powstanie odpowiedzialność ponosi w niemałym stopniu polityka Stanów Zjednoczonych. W przeciągu lat dwudziestu, aż do samego kryzysu, Anglia była wolnym rynkiem, dokąd inne kraje drogą dumpingu swoich nadwyżek mogły „wywozić swoje bezrobocie" i gdzie mogły dostawać niezbędną im walutę".

Dopiero w okresie światowego kryzysu ekonomicznego w latach 1929—1932, w następstwie umowy w Ottawie, w Brytyjskim Imperium zostały wprowadzone preferencyjne taryfy dla angielskich towarów.

O skuteczności tego systemu świadczą następujące dane. Z ogólnej sumy angielskiego eksportu towarów (bez reeksportu) wywożono do krajów Imperium:

W roku 1913 — 37%, w 1929 — 44%, w 1932 — 45%, w 1937 — 48%, w 1939 — 49%.

System preferencyjny doprowadził do tego, że tuż przed wojną prawie połowa angielskiego eksportu kierowała się do krajów Imperium. Związek Południowo-Afrykański o zaludnieniu 10 milionów, Australia z ludnością 7 milionów, zakupywały przed wojną znacznie więcej towarów, aniżeli Stany Zjednoczone ze swoimi 133 milionami mieszkańców.

Innym środkiem obrony angielskiego eksportu jest blok szterlingowy. Odegrał on szczególną rolę w czasie wojny. Wszystkie zapasy zagranicznej waluty państw bloku szterlingowego były skoncentrowane w Londynie. Kraje Brytyjskiego Imperium mogły zakupywać amerykańskie towary tylko w tych wypadkach, o ile instytucje walutowe dawały im do dyspozycji dolary. Indie, którym Anglia, jak wiadomo, była dłużna więcej niż miliard funtów szterlingów, nie mogą wykorzystać tej sumy ani na zakup angielskich towarów, ponieważ na to nie pozwala bilans płatniczy Anglii, ani na zakupno towarów amerykańskich, ponieważ Londyn nie wydaje na ten cel dolarów.

Amerykańskie koła miarodajne uważały angielski system preferencyjny i blok szterlingowy za poważne przeszkody na drodze do urzeczywistnienia rozszerzenia eksportu towarów amerykańskich na kraje Brytyjskiego Imperium. W związku z pertraktacjami finansowymi wysunięto nawet żądanie zmiany systemu taryf preferencyjnych. Tak np. gazeta „New York Herald Tribune" pisała 13 maja 1945 r.:

„Powinniśmy zrozumieć, że Anglia przez utworzenie stref bloku szterlingowego, systemu imperialnych taryf preferencyjnych oraz przez akty dyskryminacyjne w stosunku do cudzoziemców stworzyła izolację ekonomiczną o wiele silniejszą, aniżeli Ameryka przez swój system taryfowy".

Żądanie zmiany systemu preferencyjnego i bloku szterlingowego wysunięte zostało przez amerykańskie sfery miarodajne jako kompensacja za udzielenie Anglii pożyczki.

Żądanie to natrafiło w Anglii na ostry sprzeciw nie tylko ze strony prasy konserwatywnej, lecz także oficjalnego organu Partii Pracy „Daily Herald". Okazało się, że takie żądanie pozbawia Anglię możności prowadzenia samodzielnej polityki ekonomicznej.

Przyjęcie tego rodzaju warunków doprowadzi nieuchronnie, wedle słów amerykańskiej gazety „Baltimore Sun", do tego, że „Anglia będzie przywiązana do ogona amerykańskiego ekonomicznego węża".

Zawarty w Washingtonie układ finansowy ma, jak dowodzą tego oświadczenia angielskich i amerykańskich mężów stanu — charakter pewnego kompromisu między żądaniem Anglii, ażeby Stany Zjednoczone dostarczyły jej niezbędnych sum jako rekompensaty za jej bardziej wydatny udział we wspólnej wojnie, a żądaniem Stanów Zjednoczonych, ażeby Anglia, prócz procentów i amortyzacji, zapłaciła jeszcze za udzieloną pożyczkę zmianą systemu preferencyjnego i likwidacją bloku szterlingowego.

Kompromisowy charakter umowy przejawia się szczególnie wyraźnie w tym, że nie postawiono jasno sprawy, w jakiej mierze i w jakim terminie Anglia powinna obniżyć taryfy preferencyjne. Zobowiązanie to upozorowane jest wspólnym celem usunięcia wszystkich przeszkód stojących na drodze do stworzenia handlu międzynarodowego, przejścia od „handlu jednostronnego" (należy to rozumieć — między Anglią i innymi krajami Brytyjskiego Imperium) do „handlu wszechstronnego" (należy to rozumieć — swobodne dopuszczenie amerykańskich towarów do Brytyjskiego Imperium). Międzynarodowa ekonomiczna konferencja, która ma się odbyć w połowie 1946 r., powinna rozpatrzyć tę sprawę i powziąć odpowiednią decyzję.

Kompromisowy charakter ma także uchwała o zwolnieniu „zamrożonych" w Londynie sum, należących do państw wchodzących w skład bloku szterlingowego. Sumy te dzielą się na trzy kategorie. Sumy pierwszej kategorii powinny być jak najszybciej „odmrożone" i wymienione na najbardziej dogodną walutę. Zobowiązuje to Anglię do wypłacenia części tych sum, należących się na przykład Indiom albo Egiptowi, w dolarach. Innymi słowy, Anglia nie może wyzyskać pewnej części pożyczki otrzymanej od Stanów Zjedno-

czonych wedle własnego życzenia, lecz musi ją oddać do dyspozycji swoich wierzycieli, by ci mogli kupować amerykańskie towary. Sumy drugiej kategorii winny być zwolnione w ciągu szeregu lat po 1951 roku, to jest do ukończenia całej kredytowej operacji. Wreszcie sumy trzeciej kategorii mają być użyte na spłacenie wzajemnych powojennych długów.

Gospodarcze znaczenie tego punktu angielsko-amerykańskiego porozumienia zależy przede wszystkim od wielkości sum należących do pierwszej kategorii. Ten ogólny charakter sformułowania ekonomicznych ustępstw Anglii tłumaczy się oczywiście zamiarem ułatwienia ratyfikacji umowy zarówno w angielskim parlamencie jak też w amerykańskim kongresie, ponieważ tak ogólnikowo sformułowane punkty nieraz można interpretować jak się komu podoba. Nie jest też wykluczone, że ostra krytyka, z jaką spotkała się ta umowa w Anglii, oprócz innych celów ma również i ten, by wykazać amerykańskiemu kongresowi korzyści umowy dla Stanów Zjednoczonych i tym samym ułatwić jej ratyfikację przez kongres. Jakkolwiek jest, angielska opinia publiczna ocenia umowę jako dowód znacznego pogorszenia międzynarodowej pozycji ekonomicznej Anglii. Anglia, która w ciągu dwóch wieków była światowym bankierem, dawała pożyczki wszystkim krajom i często dyktowała im określone gospodarczo-polityczne warunki, teraz nie tylko sama zmuszona jest zaciągać wielką pożyczkę za granicą, lecz także musi przystosować w pewnej mierze swoją politykę ekonomiczną do żądań Stanów Zjednoczonych, ażeby otrzymać tę pożyczkę. W Anglii zdają sobie sprawę, że pożyczka ta jest nowym krokiem do zwiększenia potęgi Stanów Zjednoczonych kosztem Brytyjskiego Imperium. Warto przypomnieć, że pewne koła amerykańskie jeszcze w czasie wojny podejmowały próby urzeczywistnienia — pod mniej lub bardziej mglistą postacią — licznych projektów „amerykańsko-angielskiej unii", wspólnego administrowania angielskim imperium kolonialnym, wciągnięcia kolonii południowo-wschodniej Azji — Indonezji, Indochin, Malajów — w sferę amerykańskich interesów, co faktycznie oznaczałoby poddanie Brytyjskiego Imperium w całości lub częściowo pod amerykańską kontrolę. Churchill jak wiadomo zareagował na takie próby oświadczeniem, że on nie po to został premierem, aby likwidować Brytyjskie Imperium. W szerokich kołach Anglii powstało mniemanie, że angielsko-amerykańska umowa finansowa jest dla Stanów Zjednoczonych wygodnym czynnikiem, godzącym w podstawy Brytyjskiego Imperium w momencie, kiedy Anglia jest zmuszona oczyścić pole działania dla Stanów Zjednoczonych w Chinach i Południowej Ameryce.

Wszystko to wywołuje w Anglii zrozumiałe niezadowolenie z umowy. To niezadowolenie wyraziło się jasno w debatach w angielskim parlamencie. Minister skarbu Dalton oświadczył, że angielska delegacja pragnęła otrzymać pewną sumę jako dar, pomoc lub bezprocentową pożyczkę, lecz propozycja ta została odrzucona, powołano się bowiem na to, że amerykański senat nigdy nie zatwierdziłby takiej umowy. Dalton przyznał, że umowa jest daleka od tego, czego życzyłaby sobie Anglia, ale zapytał krytykujących umowę, co oni mogą zaproponować w zamian za pożyczkę.

„Bez umowy" — powiedział on — „pójdą na marne wszystkie nadzieje na angielsko-amerykańską współpracę w tym pełnym obaw pokoju, w który wstąpiliśmy".

Protest przeciwko przyjęciu umowy podpodnieśli członkowie parlamentu w imieniu obydwóch partyj, przy czym kierownictwo partii konserwatywnej w osobie Churchilla polecało wstrzymać się od głosowania. Konserwatysta Boothby ostro wystąpił przeciwko umowie nazywając ją „ekonomicznym Monachium", ponieważ otwiera ona wszystkie rynki świata Stanom Zjednoczonym. Członek Partii Pracy Norman Smith stwierdził, że Stany Zjednoczone obchodzą się z Anglią jak z narodem pokonanym. Ale nawet najostrzejsi krytycy umowy nie mogli wskazać innej drogi dla złagodzenia ciężkiej sytuacji ekonomicznej Anglii. Były minister przemysłu wojennego Lyttleton oświadczył, że nie znając innego wyjścia, nie będzie głosował przeciw jej podpisaniu. „...Układ jest konieczny — zauważył on — ale jego warunki są nie do przyjęcia". Bevin powiedział, że kraj znajduje się w sytuacji ekonomicznej bardzo przypominającej sytuację wojenną z 1940 roku.

Po burzliwych debatach około 70 konserwatystów i 20 członków partii robotniczej głosowało w Izbie Gmin przeciwko umowie. W Izbie Lordów, gdzie konserwatyści, jak wiadomo, mają ogromną przewagę, nie zdobyto się na głosowanie przeciwko umowie, chociaż Beaverbrook próbował wykazać, że Anglia może obejść się bez pożyczki.

W ten sposób umowa finansowa została przez Anglię przyjęta. Ale trudności w stosunkach ekonomicznych między Stanami Zjednoczonymi i Anglią — chociaż pożyczka je czasowo łagodzi — nie pokonano. Wojna o rynki stanie się jeszcze ostrzejsza, kiedy powojenny głód towarowy będzie zaspokojony i nastąpi pierwszy powojenny kryzys nadprodukcji w Stanach Zjednoczonych.

Eugeniusz Warga

(„Nowoje Wremia", nr 1, 1 stycznia 1946 r.).

ADAM MAUERSBERGER

Dwie książki wspomnień o Krakowie



Tadeusz Boy-Żeleński

Boy-Żeleński. Znaszli ten kraj? 54 ilustracje. (Kraków), „Czytelnik", 1945; str. 250 i 2 nl.

Znakomicie — i to jest pierwsza informacja — wytrzymuje Boy próbę dzisiejszego czasu. Opowiadania jego nabierają nowej jeszcze ostrości. Na przykład o Jerzym Mycielskim, który osiągnął to, o czym śnił: obracał się dookoła arcyksiążąt; więc po rozpadnięciu się monarchii i nastaniu republik i Polski „...jednego dnia rozebrało go — Ej, Władziu — jęknął do Wł. Michałowskiego, który później cudownie odgrywał tę scenę — wolno przecież pomarzyć trochę. Wyobraź sobie, że tak jak tu siedzimy, nagle telefon: Hallo! hier Konopisch (rezydencja arcyksięcia Ferdynanda) ...Sama arcyksiężna mówi (Tu Mycielski zgiął się w pokłonie). Kommen sie doch nach Konopisch Herr Graf? Jawohl kaiserliche Hoheit, wenn ich dieser Gnade würdig bin... (Nowy rozanielony ukłon do fikcyjnego telefonu). A dziś co? (waląc z komiczną wściekłością pięścią w stół): Belweder. Belweder. Belweder".

Tak, te opowiadania nabierają nowej jeszcze ostrości. Każda tęga sztuka, jak wyraził się kiedyś Boy, jest bryłowata, a liche sztuki są płaskie w każdym znaczeniu słowa. W takiej tęgiej sztuce, gdy problematyka się nawet zatrze, wystąpią inne zagadnienia i rzecz pokaże nowy profil. Można sztukę przenieść wszędzie w czasie i przestrzeni i też by się nic nie zmieniło, byle wiosna za oknami została ta sama. Tak, to nie jest publicystyka, Boy nie jest społecznikiem, ani sufrażystą, ani prekursorem, ani guślarzem, to raczej dzisiejsze czasy odnajdują swe odbicie w felietonach Boya.

To właśnie bardzo uprzedzony Irzykowski zarzucił Boyowi i Słonimskiemu, że doprowadzili felieton do perfekcji, a my dziś jesteśmy świadkami, jak ten rodzaj literacki, zdawałoby się uwarunkowany aktualnością, gazetą czy tygodnikiem, w których się ukazywał, żyje sobie na prawach dzieła sztuki. A przecież krytyczne spojrzenie na współczesność, dowcip i wdzięk, jak łatwo się starzeją i nudzą, sprawdzić mogą w Krakowie wszyscy na wznowionej komedii Flersa, któremu swojego czasu Boy wyznaczał tak wysoką rangę, że mówiąc o humorze Mickiewicza nazywał poetę Flersem puszcz litewskich.

Cała twórczość literacka Boya posługuje się tylko jednym sposobem — felietonami. Felietonami są wspomnienia krakowskie i gdy dziś czytać recenzje teatralne Boya, gdy czytać: „Pani Modzelewska ślicznie wyglądała" — to poznajemy, że te recenzje stały się wspomnieniami o starej Warszawie. To dziś może łzy wyciskać, a dawniej aktorzy tak narzekali na tego rodzaju ocenę ich pracy. Boy nie jest teatrologiem w tym samym sensie i charakterze, jak nie jest społecznikiem, estetą i Bóg wie czym jeszcze. Pisze jako amator i styl jego, tak lekki i niedostrzegalny, nie jest — jak mówili starzy klasycy — wyborny.

W tych krakowskich wspomnieniach Boy ani trochę nie wchodzi w ton par excellence pamiętnikarski, tradycyjny i gawędziarski. Dowcip jego zabłyśnie czasami staroświecką szarmanckością: „,C z a s' jak ,T y g o d n i k I l l u s t r o w a n y' miał za zasadę, by mógł leżeć na stole w domu, gdzie są córki" — ale tym ostrzej wystąpią dowcipy sytuacyjne, które trzeba raczej widzieć: „E, tego to już tam — machnął z wymownym zniechęceniem ręką i usiadł wśród homerycznego śmiechu sali". Szybki tok opowiadania chwilami sprawia wrażenie, że Boy z pośpiechu, żeby czego nie zapomnieć, sam nagle sobie przerywa.

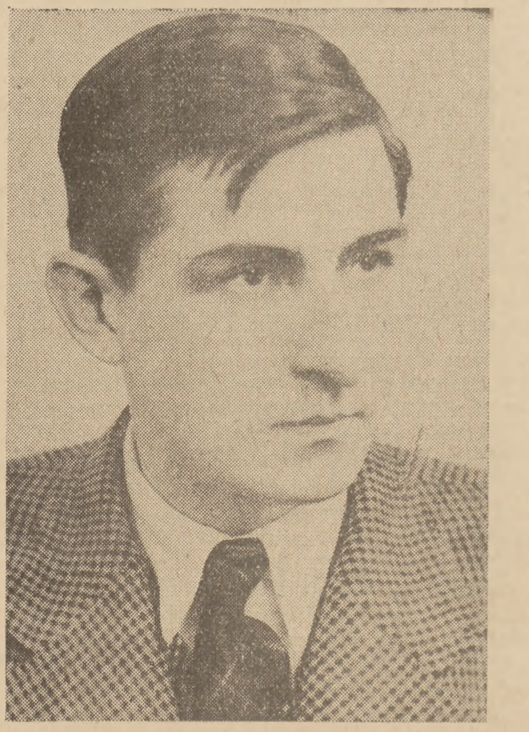
I tak wspomnienia przepływają w sposób nieuchwytny, tak gładko, że po jakimś czasie trudno sobie przypomnieć cokolwiek, bo pewna łatwość stylu wypełnia książkę — a opowiadane są rzeczy błahe. Powrócić trzeba jeszcze do niezwykle silnych, a dawniej nie zwracających uwagi epitetów, które dzisiejsze czasy mogłyby znaleźć sobie bez trudu. Na przykład o arystokracji: „kombinacja sknerstwa, bigoterii, snobizmu i jakiejś — aby tak rzec — eksterytorialności tych krajowych cudzoziemców, którzy nawet języka swego kraju nie znają! Bo skoro żona prezesa Akademii Umiejętności nie wie co znaczą po polsku portki, czego żądać od innych? Ale już zbliża się dzień zapłaty. Nie takie głowy jak twoja, Ekscelencjo, spadały! grzmiał w wiedeńskim parlamencie Daszyński do Wojciecha Dzieduszyckiego, starego kawalarza, który... itd.". Tylko, że w odróżnieniu od naszych dni, w tamtych niedynamicznych czasach wszystko to było bez konsekwencji: „Ale pan, panie pośle, używał sobie na mnie. Nazywał mnie pan idiotą, łotrem, złodziejem grosza publicznego, mordercą... — Nic to panu hrabiemu nie zaszkodziło — śmiał się dobrodusznie Daszyński, ściskając wpół eks-satrapę rządowego, osławionego starostę galicyjskiego, Władysława Michałowskiego".

Wszystko to były figury retoryczne. Dziś trzeba by je pisać w cudzysłowie, żeby kto tego nie wziął dosłownie. Profesor Kowalski opowiadał jeszcze w czasach okupacyjnych, zresztą u wdowy po rektorze Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezesie Akademii Umiejętności, historię, która dokładniej jeszcze ilustruje tę niedynamiczną epokę. Kiedy Bobrzyński reorganizował Uniwersytet, w braku Polaka wziął na katedrę prawa Niemca, który na wykładach wciąż popadał w dygresje. Inspirowały one słuchaczów regularnie po każdym wykładzie do ostentacyjnego defilowania przez pobliski kościół akademicki aż pod wielki ołtarz. Przechadzali się studenci pomiędzy klęczącymi z wyzywającym wyrazem twarzy i z nakrytymi głowami. Z czasem przeciwnicy tej demonstracji starali się w kruchcie laskami postrącać im cylindry (zwykłe nakrycie głowy studenta) i rzecz na ripoście się urywa w przeciwieństwie do XX wieku, który się dynamizuje i dopiero zaczyna od dupliki; wiek XIX niejako udzielał głosu opiniom, które demonstracją zaznaczały swoje zasadnicze stanowisko. I rzecz mogła się powtarzać do znudzenia od początku i ku powszechnej satysfakcji zastygała w obrzęd. W Anglii, gdzie istnieje zamiłowanie do rytuału, z pewnością w ten sposób powstawałyby jakieś uroczystości czy przywileje uniwersyteckie i dziś najpobożniejsi studenci wydziału prawa w kaplicy oxfordzkiej modliliby się może strzegąc zazdrośnie cylindrów na głowie.

Ucisk murów na ludzi w ówczesnym Krakowie, ta infekcja smutku, na którą skarży się Boy, tłumaczyć się może niedynamicznością tamtych czasów. Wybuch Zielonego Balonika, najazd całej tej cyganerii na miasto, nieproporcjonalna eruptywność Przybyszewskiego, który w gruncie rzeczy wyrażał witalizm, zwycięstwo tej rewolucji, która nawet w obozie konserwatywnym wywołała frondę — tworzy formację psychiczną i w przeciwstawieniu do niedynamiczności stańczykowskiego Krakowa, uformował się przez kontrast jakże dynamiczny i burzycielski — Boy. Stańczycy bowiem nie hołdowali starożytnej maksymie, głoszącej, że umiar jest cnotą władcy (skoro nie mobilizuje on sprzeciwu).

Jakiż ładunek wybuchowy nagromadzić się musiał w człowieku prowadzącym podwójne życie: w dzień lekarz podporządkowany, przygotowujący się do habilitacji, w nocy cygan. Toteż kiedy Boy zrywa z karierą uniwersytecką, będą mu najbliżsi cyganie od Villona do Verlaine'a. Obcy będą Racine i Chateaubriand, którzy po trosze wydadzą mu się obłudnikami, — bo kto spędził młodość pośród przybyszewszczyków, ten będzie dopatrywał się w poecie kompana i nie da sobie wmówić „szczególnie wobec powszechnej u nas skłonności do zmieniania ludzi w bezcielesne mity", że poeta był układny i wyczesany. Dla tego człowieka Bobrzyński i Feldman będą zawsze w jednym stronnictwie — ludzi pozbawionych poczucia humoru. Nie znaczy to, żeby Boy nie znał się na ludziach i nie był wrażliwy na ludzką niedolę, miał nieartykułowane tylko poczucie ludzkości i zapadał na daltonizm na widok krzywdy społecznej. Pilni czytelnicy znajdą wszystko co należy o nędzy galicyjskiej i o bilansie socjalnym tej hegemonii Stańczyków. Oczywiście znajdą tylko wzmianki, bo obfitych informacyj szuka się u Bujaka a w najbliższym czasie znajdzie się je także i u Wereszyckiego.

Dla Boya jednak są to wspomnienia młodości, a we wspomnieniu układa się wszystko pogodnie. Nie tylko Boyowi, Mickiewiczowi także. I nędza galicyjska, to przede wszystkim napis w małym szynczku na Karmelickiej: „Po godzinie jedenastej potrawy i napoje o jednego centa droższe. Istotnie na jajku na twardo i kieliszku wódki było to po-



Karol Estreicher

drożenie o 33% bardzo poważne". „Niechże mi wolno będzie spojrzeć na ten dawny Kraków okiem artysty" — pisze Boy, trochę, jak na siebie, celebrując, jak gdyby wychylając kieliszek po tak wygórowanej cenie.

Jako jedną z pierwszych książek polskich wznowił „Czytelnik" „Znaszli ten kraj" jeszcze na bardzo wojennym papierze, wojenną techniką reprodukując ilustracje. Ten wybór jest nie tylko szczęśliwy, ta pogodna książka stanowi najlepsze wprowadzenie do twórczości literata, który w czasie drugiej niepodległości wybierał ogółowi inteligencji polskiej książki do czytania, tłumaczył je na polski, podawał je i przyrządzał według swego smaku, prowadził do teatru, bawił rozważaniami, śmieszył, mówił na wszystkie tematy z życia i przemian obyczajowych, nawet o literaturze polskiej, okazując ją inną aniżeli profesorowie uniwersytetu. Wielu ludziom urządzał całe ich życie literackie, wszyscy byli, chcąc nie chcąc, ogarnięci atmosferą jego felietonów. Tego uzależnienia nie zniósł Irzykowski.

Był też Boy jedynym człowiekiem w Polsce zwalczanym za życia nie tylko artykułami, ale i książką, i to znakomitego autora. Jedynym, ponieważ broszura Jerzego Stempowskiego jest tak zaszyfrowana, że i dziś zaledwie kilka osób, którym autor powiedział to na ucho, wie, że tam chodziło o pamflet na Piłsudskiego. Tak, „Znaszli ten kraj", ta pogodna książka jest najlepszym wprowadzeniem do pism Boya, lektury interesującej i przyjemnej, w tej książce bowiem najpełniej okazuje się Boy, wciąż żywy pisarz i żywy człowiek.

Karol Estreicher. Nie od razu Kraków zbudowano. Okładkę projektował **Wacław Machan.** Londyn, Wydawnictwo Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 1945; str. 163 i 1 nl.

„Nie od razu Kraków zbudowano" — pod tym tytułem ukazała się książka prof. Karola Estreichera. Ukazała się w zeszłym roku w Londynie nie bez pewnego angielskiego, ograniczającego wpływu na interpunkcję. Ten mały tomik pingwinowskiego formatu (cena 9 szylingów, 6 pensów) jest zbiorem wspomnień. W zestawieniu z amatorską niefrasobliwością Boya — przecież zawodowego literata i tkwiącego w samym środku literatury pięknej, podziwiać można w Estreicherze, historyku sztuki i profesorze, pedantyczną dbałość o to, żeby wspomnienia nie były, Boże broń, swobodnie pisanym pamiętnikiem, ale zbiorem nowel, wchodzących do literatury pięknej. Uderzają uporczywe w tym względzie ambicje. Bije w oczy słabo przymocowany do poszczególnych opowiadań tytuł książki, tytuł pierwszych rozdziałów — i pierwsze zdania tekstu.

W zamierzeniu autora miał to być świat widziany oczyma dziecka. Lecz po tym wszystkim, czego dokonano i w literaturze pięknej, i w psychologii, i co w tłumaczeniach zostało rozpowszechnione w języku polskim, zarówno przez specjalnie w tym celu powołaną Bibliotekę Dzieł Pedagogicznych, jak i przez prywatnych wydawców, pisać w imieniu dziecka („zajmowało mnie już inne zagadnienie", „przerwał me obserwacje Jaworski" (prof. W. L. Jaworski), „interesowały mnie zawsze kulisy"), charakteryzować dzieciństwo przez ból brzucha, dłubanie w nosie, kłócenie się z rodzeństwem, niechęć do nauki, to co najmniej nieopanowanie bibliografii.

Autor jako dziecko słucha rozmów starszych. Nie rozumie, ale pamięta. Gdyby się to zdarzyło raz, albo niekiedy, byłby to efekt

nie pozbawiony wdzięku, może nawet i zabawny, tym bardziej, że dialogi mają zabarwienie złośliwe. Niestety jest to sposób stosowany konsekwentnie przez pierwszą połowę książki (dopóki chłopiec nie podrośnie); na skutek wysiłku dziecka wrażenie czytelnika jest męczące i przykre.

W kawiarni są tylko ludzie o głośnych nazwiskach, ludzi postronnych, nieznajomych nie ma. To samo na plantach i na ulicy, gdzie dopuszczono wprawdzie, choć w rolach epizodycznych, postaci charakterystyczne dla Krakowa, zawsze jednak z imieniem, nazwiskiem, rodowodem i adresem. Ten brak statystów wytwarza sugestię zapewne przeciwną sugestii autora i złośliwą. Jules Romains wskazywał na niebezpieczeństwo tego rodzaju błędu. Autor z żelazną konsekwencją i bez wytchnienia daje lapidarną charakterystykę swych postaci. Ludzie ci mówią jak gdyby aforyzmami.

Estreicher posługuje się też dowcipem, ale jest to dowcip w rodzaju: „do uniwersytetu było daleko, coś około pięciu minut“, albo otrzymujemy do czytania monolog zduna po „Hydrauliku“ Tuwima, przechodzący bez wrażenia, czy też satyrę na polonistów zaczynającą się od słów: „Pewien teoretyk literatury, komentując plastykę sceny a wizyjność słowa u Wyspiańskiego, dowodzi na przykładzie zawieszenia drzewka u sufitu jak rewolucyjny był duch poety itd.“ Nieporozumienie wzmaga się przez stosowaną przez autora formę częstotliwą i uogólniającą, sterylizującą wrażenia: „drzeworyty rozbudzały zaciekawienie“, „zdawałem sobie sprawę, że przedstawiały“.

W pamiętniku czy powieści opisuje się nie tyle przyzwyczajenia czy działanie jakiegoś prawa, co opowiada się jedną perypetię niejako jedyną, niepowtarzalną, symboliczną, dającą złudzenie pełni życia. W samej technice pisarskiej stosowany jest system rozpowszechniony przez Prousta i Conrada, system dygresji i przestawionej chronologii, system wynikający z pewnej dezynwoltury wyrafinowania Prousta, ze spokojnego toku opowiadania, które układa się wedle asocjacji najnaturalniej u Conrada, ale tu, w pamiętniku, kiedy hycel złapał Dzimusia — jest rzeczą niehumanitarną, wbrew naturze, odprawiać te modne porządki. W czasie powstania warszawskiego miałem sposobność być świadkiem odprawiania tego rodzaju obrządków w opowieści zakonnika, który był jednym z kilku ocalonych w klasztorze, a opowiadał o wymordowaniu kilkudziesięciu pozostałych mnichów

Trzeba umieć rozróżnić prawdziwe zdarzenie od fikcji. Zresztą zmiany tych perspektyw, manipulowanie nimi mechaniczne i bezwzględne wzmaga tylko wrażenie sztuczności i skrępowania, których miało się uniknąć. Ale nie chodzi o usterki Są one dowodem nieopanowania rzemiosła, do którego się aspiruje i — fałszywie i sztucznie skierowanych ambicyj. Co więcej, znać, że rzecz została odrobiona z wysiłkiem, co wyraźnie odczuwa czytelnik i jak mówił Mickiewicz o tłumaczeniach Odyńca, że gdyby nawet to i owo poprawić, to robota i tak lampą będzie cuchnąć, a Niemcewicz, stary i niechluj, ale w rzeczach jego więcej jest naturalności i życia.

Apostrofa do konfitur z przywołaniem Tuwima i Słonimskiego (ty, Julianie, ty, Antoni) napisana jest z pedanterią chemika, lecz bez smakoszostwa Dobry smak nie ustrzegł też Estreichera przed staropolszczyzną, którą stosuje nie tylko, gdy wygłasza pochwałę konfitur, co byłoby tylko stereotypowe, lecz i wtedy, gdy chce wypowiedzieć się z powagą: „zobaczyłem kulawego męża“ Niestety, tu znów braki w bibliografii: od czasu „Ferdydurke“, Gombrowicza te staropolszczyzny i tłumaczenia z łaciny brzmią już tylko niepoważnie — a przecież Estreicher formą tą miał uczcić brata Alberta.

I gdyby te wspomnienia nie były w pretensjach, gdyby nie były ucharakteryzowane na nowelę, gdyby autor ambicjami nie napastował literatury pięknej, miałby w pełni przewagę, której ulegamy chętnie, słysząc o psie Dzimusiu, który jak mistrz ceremonii poprzedzał w bibliotece i w teatrze ojca bibliografii polskiej, a dziadka autora.

To wspomnienie przenosi nas w inną atmosferę niż atmosfera dzisiejszych, fabrycznych żelbetów Biblioteki Jagiellońskiej, dobrych może w Łodzi, ale nie w Krakowie. Ludziom zmuszonym dziś chodzić do tego gmachu, siedzieć w lektorium, łudząco przypominającym hall dworca głównego w Warszawie, miło będzie się dowiedzieć, że dawny dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej przesiadywał w lektorium (bo sprawiało mu przyjemność służenie radą czytelnikom)! Przesiadywał z nieodłącznym psem, który uwieczniony został na oficjalnym portrecie. Wcześniej jeszcze na ramionach dyrektora biblioteki siadały dwie małe i gadatliwe papugi — widok możliwy jeszcze w British Museum, którego jeden z dyrektorów, mówiący 23 językami, siada do dziś jeszcze na środku sali w cylindrze — możliwy także w paryskiej Bibliotece Narodowej, gdzie ludzkie zamiłowania otoczone są troskliwością i szacunkiem.

Będzie też rzeczą użyteczną dowiedzieć się, że dawniej Maurizio nie miał szyldu — miałby to sobie za ujmę; dziś Jagiellonka zgodnie z przyjętym stylem zohydzona jest umieszczoną nad wejściem reklamą z chromoniklowych liter tworzących napis „Biblioteka Jagiellońska“. Czyżby i Wawel miał doczekać się szyldu?

W miarę czytania, szczególnie pod koniec książki, dowiadujemy się o rzeczach coraz ciekawszych i milszych. Słyszymy rozmowę Stanisława Koźmiana z Mickiewiczem i znajdujemy odpowiedź na pytanie, które zadaje sobie przechodzień idąc linią A-B i spoglądając na tablicę na domu Chłopickiego: Co robił dyktator przez te ćwierć wieku, które pozostały mu jeszcze do życia po upadku listopadowej rewolucji? Uczył dzieci musztry na plantach i był bardzo wymagający. Czytamy o sporach, rozdzielających rodziny po 63 roku. Słyszymy rozmowy Stańczyków — zawsze na pograniczu żartu i mówienia bardzo serio, słyszymy opowiadania o antykwariuszu i o malarzu, gdzie zabłysnął cały kunszt rodowej alchemii bibliograficznej Estreicherów. Na koniec wspomnienie o dzwonie Zygmunta, które na emigracji mogło mieć podobną siłę emocjonalną co „Latarnik“ Sienkiewicza.

To są niezastąpione sukcesy Estreichera. Bo z pisarzem, który wziął na siebie parti pris, jest jak z aktorem pod opaczną reżyserią: w miarę gry ulega on coraz silniej naturze poezji i naturze ludzkiej i nie wiedząc kiedy wyłamuje się, zwycięża i staje się swobodny, ale nie od razu — bo nie od razu Kraków zbudowano.

Adam Mauersberger

Dokształcające kursy dla literatów

Wystąpienie Kazimierza Wyki wniosło nowe momenty do dyskusji nad Leśmianem. Kryptonim **awk.** w nr 6 „Kuźnicy“ zwrócił uwagę na pewną formułę Wyki: „wybiera się temat, wybiera się osnowę utworu, ale nie wybiera się stylu. Ten jest dany“. Wyka zabawił się nieostrożnie w paradoksy. **Awk.** udał, że tego nie rozumie, wziął słowa krytyka dosłownie, żeby móc je ukazać w parodystycznym powiększeniu. Gdyby nie udawał, że nie wie o co idzie, nie mógłby napisać ciętej „Noty“. W nr. 7 „Kuźnicy“ kryptonim **żłk**, skierował sprawę do wyższej instancji. Pilna potrzeba satyry ustąpiła miejsca nie mniej pilnej potrzebie metodologii. Różne bowiem rzeczy determinują, a przez to indywidualizują pracę pisarzy. Okazało się dowodnie, że Wyka nie miał racji, że to temat bywa dany, a styl dyskusji każdy sobie wybiera według gustu, z dobrej a nieprzymuszonej woli!

Zacznę od zastrzeżenia. Nie występuję tu jako obrońca Wyki, który obędzie się bez adwokatów, tylko jako obserwator. Oświadczam dalej, że w pełni popieram żądania kryptonimu **żłk.** Niech Wyce dadzą stypendium zagraniczne, żeby się chłopak coś niecoś poduczył. Taki „Przegląd Filozoficzny“, „Przegląd Socjologiczny“, „Kwartalnik Historyczny“ albo „Pamiętnik Literacki“ powinny były już dawno zostać wznowione. Idę jeszcze dalej. Twierdzę, że każdy literat i naukowiec potrzebuje dokształcenia, czyli wyjazdu za granicę, urlopów płatnych, zasiłków na kupowanie książek, jakichś wyższych kursów naukowo-kulturalnych, nie mówiąc już o mieszkaniu i jakich takich zarobkach. Wymagają tego zarówno bieżące potrzeby nauki i państwa jak i nasze duże wojenne zaległości.

A poza tym niech każdy pisarz będzie ścisły. Niech red. Kuryluk przed umieszczeniem artykułu przepytuje współpracowników z metodologii ogólnej, a Przyboś niech urządza kolokwia z poetyki przed przyjęciem wiersza do druku. Nie zawadzi także pisujących prawników przeegzaminować z encyklopedii prawa, malarzy z perspektywy, a muzykologów zbadać czy mają słuch absolutny. Może też ktoś wpadnie na genialną myśl i zorganizuje kursy praktycznego humanizmu czyli ludzkości i poczucia humoru dla wyższych urzędników administracyjnych. W ogóle kursy kursy i jeszcze raz kursy, bo wszyscy sporo starych rzeczy w czasie wojny zapomnieli i niemało nowych rzeczy po wojnie muszą się nauczyć.

W pewnym miejscu proponuję poprawkę do wniosku **żłk**. Mianowicie uważam, że trzeba dokształcić przede wszystkim ludzi stojących na wyższych stanowiskach oświatowo-kulturalnych, bo trzeba zaczynać od tych, którzy już obecnie mogą być szkodliwi. Słuszna myśl, żeby studenci zdawali egzaminy z metodologii; umieściłbym ich jednak na drugim planie, bo oni dopiero za parę lat, po skończeniu studiów, otrzymaniu posady i wysunięciu się na odpowiedzialne stanowiska, będą mogli okazać się niebezpieczni.

Po tych zastrzeżeniach przystępuję do sprawy głównej. Idzie o to, czy rzeczywiście casus Wyka jest casusem metodologicznym. Ze wszystkiego można zrobić sprawę metodologiczną. Szkic Sandauera dawał sposobność do dyskusji z zakresu nie tylko ogólnej metodologii humanistycznej, ale także szczegółowej, z dziedziny krytyki. Co do mnie, ciekaw byłbym właśnie tej drugiej, tej szczegółowej, bo lubię zagadnienia konkretnie literackie.

Są one nie mniej ważne od ogólnych teorii, a może nawet ważniejsze. One to sprawdzają praktycznie słuszność założeń ogólnych, przy których poprzestaje się na stwierdzeniu poprawności czysto formalnej. Równocześnie tylko one wydają badaczowi legitymację do zajmowania się sztuką. W literaturze mamy do czynienia z faktami szczegółowymi i konkretnymi, które wymagają badań szczegółowych i nieraz ryzyka zarówno metodologicznego jak i terminologicznego. W sztabie plany mogą i muszą zawsze być ścisłe; w czasie bitwy jednak różnie to potem wygląda, jak nas uczy historia. Profesorowie filozofii i estetyki, historycy literatury odsuwają od siebie twórczość artystyczną bieżącej doby, a w dziejach sztuki i literatury dziedzina analizy artystycznej i wartościowania uchodzi za nieścisłą.

Prof. Ingarden napisał teorię badania dzieła literackiego. Prof. Chwistek uważał ją podobno za chybioną. Ale ani prof. Ingarden ani prof. Chwistek nie wydali studiów literackich, nie pokazali, jak się pracuje w terenie, zostawiając te mozoły i niebezpieczeństwa niewyszkolonym odpowiednio krytykom i przygodnym badaczom.

Tak pojęta ścisłość i ostrożność naukowa opłaca się sowicie. Prof. Kridl grzmiał przez kilka lat formalistycznie aż się Tatry trzęsły, a kiedy wreszcie wydał biblię formalizmu, okazało się, że to bardzo mała i chuda mysz. Wyobrażam sobie, co by to było, gdyby ogłosił analizę formalną jakiegoś konkretnego dzieła. Wyobrażam to sobie na tej podstawie, że w czasie dyskusji z prof. Kridlem w Paryżu, w obecności wielu literatów i naukowców, chcąc uściślić rozmowę, a mówiliśmy o liryce, zaproponowałem wybranie jakiegoś wiersza, który prof. Kridl uważa za liryczny. Profesor poprosił o antologię Frydego i wybrał wiersz raczej „opisowy“ niż „liryczny“, a przede wszystkim tak słaby artystycznie, że zgorszył się nie tylko poeta modernista Przyboś, lecz także historyk literatury staropolskiej, Weintraub.

Dyskusja się urwała, bo jaki sens miała rozmowa z człowiekiem, który biegle teoretyzował na temat liryki, a nie odróżniał poezji od utworów rymowanych. Opowiadał mi kiedyś prof. Chrzanowski, że podobne historie zdarzały się z Piotrem Chmielowskim. Ale nikt też Chmielowskiego, zasłużonego publicysty, tłumacza i historyka literatury, nie uważa za formalistę lub za znawcę stylu, mimo że napisał podręcznik stylistyki!

Casus Wyka jest casusem terminologicznym. Wyka sformułował swą myśl paradoksalnie i jak się okazało karkołomnie. Mimo to nie trudno było się domyśleć, co krytyk chciał powiedzieć. Zrozumiałem to jako wyraz integralizmu, że wybierając temat wybieramy równocześnie w pewnym sensie także styl. Wyrażenie oczywiście metaforyczne, nieścisłe. Kryptonim **awk.** nie chciał czytać metaforycznie. Kryptonim **żłk.** (Żółkiewski?) wziął pod uwagę tylko sam oderwany zwrot „styl jest dany“ i od razu popłynął na szerokie wody metodologii i oświaty.

Czy to jest słuszne? Można było przecież podyskutować konkretnie np. w jakim zakresie krytykowi wolno posługiwać się mową obrazową. Albo jaki jest stosunek konwencjonalnej terminologii estetyczno-literackiej do metodologii. Albo jaki jest w ogóle stopień ścisłości terminologicznej w analizie estetycznej. Pasjonujące tematy! Jeśli Żółkiewski nie będzie o tym pisał, to kto się tym zajmie?

Kiedy już zaczepiono fatalny zwrot Wyki, czemu nie zakwestionowano innych tego samego rodzaju? Czemu nikt się nie dziwi, że Wyka mówi o stylu, temacie i osnowie, jakby to były rzeczy porozkładane na biurku pisarza na kształt kartek rękopisu? Czemu cierpliwie znosimy podział na formę i treść, choć nikt formy osobno istniejącej nie widział? Chyba z tych samych powodów, z jakich żaden astronom nie żżyma się, gdy słyszy, że słońce pięknie zachodzi. Ze stanowiska ściśle astronomicznego nie jest to przecież ani zachód ani piękny zachód.

Pierwszą zasadą czytania powinno być chcieć zrozumieć autora. Mają do tego prawo nie tylko wiersze Przybosia i Ważyka, lecz także prace krytyków. W przeciwnym razie dojdziemy do bardzo zabawnych rzeczy, do rysowania przenośni poetyckich i zobaczymy, co z tego wyniknie, zwłaszcza przy nowej poezji! Zamiast krytyki będziemy układać dowcipy w typie: „Jak sobie mały Jaś wyobraża wspinaczkę na Mnicha?“ Rysuje się zwalistego bernardyna i turystę, który się wspina na brzuch zakonnikowi. Taki mały Jaś usłyszawszy, że prof. Ingarden mówi o warstwicowym charakterze dzieła literackiego, mógłby nam przedstawić „Iliadę“ jako tort o warstwie czekoladowej, migdałowej, kawowej i kaimakowej.

Weźmy jeszcze inny przykład. W jednej z prac swych napisałem, że jeśli stwierdzimy różnicę między zapowiedzianym przez autora planem dzieła a wykonanym utworem, to niesposób określić dokładnie kierunku zmiany, nie wiadomo „o ile autor zmienił zdanie, a o ile dokonało tego za niego samo dzieło“. Czytelnik o dobrej woli, albo po prostu inteligentny, zrozumie z kontekstu, że chodziło mi o odróżnienie zmiany planu przed pracą nad dziełem od zmiany w czasie pracy nad dziełem. Pisarz zapoznawszy się z materiałem, porobiwszy studia może uświadomić sobie, że zamierzona pierwotnie przez niego kompozycja nie wytrzyma „treści“. O tym wypadku można powiedzieć, oczywiście obrazowo, że dzieło zmienia pisarzowi plan.

Jeśli jednak ktoś będzie się chciał koniecznie zabawić w małego Jasia, to wytłumaczy to sobie w ten sposób, że autor wziął się do powieści, obmyślił plan, naszkicował pierwszy rozdział i poszedł na wódkę, zostawiwszy nieopatrznie na stole pióro i otwarty kałamarz. Wraca i widzi, że powieść sama się napisała, tylko wkradły się pewne nieprzewidziane przez niego zmiany. Przegląda rękopis i czyta ze zdziwieniem, że jeden z bohaterów pomyślany jako poczciwy półinteligent, niższy funkcjonariusz pocztowy, został na stronicy 153 ni stąd ni zowąd konsulem generalnym w Honolulu. Dalej dowiaduje się, że pewna studentka z pierwszego roku polonistyki wpada od czasu do czasu na parę godzin do jakiejś redakcji i zarabia trzy razy tyle, co profesor nadzwyczajny, wobec tego postanawia rzucić studia (zamierzał napisać, że rodzice studentki, właściciele baru, przysyłają córce na studia kwotę trzy razy większą niż państwo przewidziało na utrzymanie profesora uniwersytetu). Ze strony 216 dowiedział się bezdomny pisarz, że nic dzisiaj łatwiejszego, jak otrzymać w sposób uczciwy i normalny przydział na mieszkanie (zamierzał napisać, że mieszkania się przeważnie nabywa, oczywiście od prywatnych pośredników). I tak dalej w tym stylu.

Tyle o małym Jasiu. Trzeba jednak brać także w rachubę różnych dorosłych Jasiów. Jakiś idealista mógłby się łatwo w przytoczonym i sparodiowanym zdaniu dopatrzyć materializmu i zacząć biadać, że doszliśmy do takiego zlekceważenia ducha i osobowości ludzkiej, iż już nawet same dzieła, nie czekając na cenzorów, ośmielają się zmieniać twórcom plany artystyczne!

Czytać, a czytać, to duża różnica. Stanowczo nie pozostaje nam nic innego, jak skrzyknąć się w obronie należytego czytania i właściwego rozumienia naszych studiów i prac. Krytycy i badacze wszystkich kierunków humanistyki łączcie się!

Wacław Kubacki

Piękne przedstawienie »Elektry« Giraudoux w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi

fot. St. Brzozowski i J. Malarski



Zofia Mrozowska (Elektra)



Scena z aktu I. Reżyseria: Edmund Wierciński. Dekoracje i kostiumy: Teresa Roszkowska



Jan Kreczmar (Egistos) i Zofia Małynicz (Klitemnestra)

KRONIKA ANGIELSKA

NIEZROZUMIAŁA CZY ZROZUMIAŁA

Paul Dehn wygłosił niedawno w radio brytyjskim odczyt pt. „Co to jest nowoczesna poezja?“ skierowany do ludzi, którzy poezję lubią, ale mają kłopoty na skutek niezrozumiałości pewnych naszych współczesnych poetów. Było to obfitym w skutki, jak również nie pozbawionym podstępnej chytrości faktem, że odczyt rozpoczęty został jakimiś szczególnie niezrozumiałymi stancami, które przez słuchaczy nie znających ich były zrozumiane jako pochodzące od Szekspira. Zbawczy wstrząs. Paul Dehn zaczął po prostu od przeczytania prostego i jego zdaniem nieudałego poematu A. E. Housmana. Było to bardzo niebezpieczne ocenić poemat Housmana jako zły; mogłoby to odstręczyć słuchaczy już na samym początku. Ale prelegent był na to przygotowany i natychmiast odczytał inny poemat tegoż autora jako przykład dobrego wiersza. Następnie w ten sam sposób postąpił ze współczesnym nam poetą, Dylanem Thomasem. Odczytał jego zły poemat, tak niejasny w swej treści, że zupełnie nie do odcyfrowania, i zestawił z nim inny również niejasny ale udały. Następnie ostatni wiersz został omówiony szczegółowo, po czym jeszcze raz odczytany. Po trzecim odczytaniu wszelkie niejasności zawarte w tym utworze znikły bez śladu. W ten sposób poglądowa metoda prelegenta mogła przekonać czytelnika, że dobry wiersz współczesnego mu poety zawsze jest do odcyfrowania, a co za tym idzie, do zrozumienia piękna w nim zawartego. Chodzi tylko o to, żeby był dobry. A ocenić to nie zawsze czytelnik potrafi, chyba żeby był Paulem Dehn.

NOWE KSIĄŻKI

Wydawnictwo „Eyre and Spottiswoode“ zapowiada w najbliższym czasie ukazanie się szeregu książek, a między innymi F. Mauriaca przekładu powieści „Kobieta Faryzeuszów“, Arthura Stanleya „Madame de Şevigné“ i Feliksa Topolskiego o Bernardzie Shaw pt. „Portrait of G. B. S.“

W serii „Faber Books“ ukazała się pierwsza sztuka Normana Nicholsona pt. „Old Man of the Mountains“, która grana w „Mercury Theatre“ spotkała się z uznaniem krytyki. Sztuka jest pisana wierszem, podobno bardzo pięknym. Nicholson jest już autorem tomu wierszy pt. „Five Rivers“. Że wierszowana forma sztuki Nicholsona nie jest odosobnionym zjawiskiem we współczesnej dramaturgii angielskiej, świadczy fakt, że tenże „Mercury Theatre“ wystawia inną sztukę o wierszowanym dialogu: „This Way to the Tomb“ Ronalda Duncana. Rzecz ta ukazała się i w wydaniu książkowym.

W wydawnictwie „Harrap“ ukazała się praca Jamesa S. Gregory i D. W. Shave o Związku Radzieckim pt. „The U. S. S. R.“. Jest to przegląd geograficznych podstaw, na których zostało wzniesione państwo radzieckie. Zawiera ona również ewolucję rozwoju dzisiejszych form państwowych Rosji z dawnego, sprzed 1917 roku istniejącego ustroju. Dla czytelnika angielskiego, zdaniem prasy, najciekawszą stroną tej książki ma być powiązanie rozwoju przemysłowego Rosji z jej planami obrony kraju.

PUBLIKACJE O ONZ

Organizacja Narodów Zjednoczonych zaczyna wypełniać witryny księgarń londyńskich wydawnictwami poświęconymi jej istnieniu. U Hutchinsona ukazały się ostatnio dwie książki na temat tej Organizacji. „First Assembly“ (autor hrabia Lytton) jest całkowitym przeglądem historycznego i politycznego tła narodzin Organizacji Narodów Zjednoczonych, jej rozwoju na konferencjach w Dumbarton Oaks i San Francisco. Zawiera pełny tekst najważniejszych przemówień tam wygłoszonych i kilkanaście stron fotografii. Druga „The United Nations Year Book 1946“ opracowana przez H. R. Madola jest sumą informacji jak najbardziej wyczerpujących na temat 51 krajów należących do Organizacji, ich ustroju, rządów, dyplomacji, z pełnymi tekstami ważniejszych umów i wyczerpującym działem bibliograficznym.

DWIE ANTOLOGIE

W swej przedmowie do antologii „These Also“ („Ci również“) Walter de la Mare przyjmuje trzy możliwe postawy w stosunku do życia zwierzęcego: mniej więcej antropomorficzną, różną od antropomorficznej i pośrednią pomiędzy tymi dwoma, nazwaną przezeń laodycyjską. Autorka samej antologii, M. Johnson, ułożyła ją z wierszy i urywków prozy na tematy życia zwierząt z punktu widzenia antropomorficznego i otwarcie sentymentalnego. Wedle jej słów zamiarem było tu poszerzyć „świadomość piękna i doskonałości fizycznej i moralnej“, dalej „odkryć pełen patosu nurt ukryty w samozacierającym się bycie; pełną pragnień muzykę ich niewinnych igraszek; miękkie, niższe tony ich nigdy nie skarżącej się cierpliwości — ich zdolność zapominania i pełną rezerwy pokorę“. Autorka, aby stworzyć trzon swojej książki, nie uciekła się do pomocy takich autorów jak T. E. Brown i Rudyard Kipling, ale do wielkich poetów romantycznych angielskich — Blake'a, Wordswortha, Shelleya, Keatsa i ich prekursorów: Thomsona i Crabbego. Główną zasługą autorki jest uczynienie ich znowu aktualnymi przez pokazanie walorów ich poezji. Jest to częściowo zasługą jej smaku, a częściowo płynie z faktu, że formy zwierzęce miały to samo dziwaczne znaczenie dla poetów, jakie miały w ogóle inne formy natury, wyostrzając ich spojrzenie i wydobywając z nich najlepsze słowa, na jakie ich było stać. Bardzo dobrze zostały wybrane fragmenty z Biblii, Spencera, Miltona, Montaigne'a, Donne, Tennysona, Dickensa, Hudsona i innych, jak również starzy faworyci — kot Johnsona i zające Coopera. Znakomite i mniej znane są wyciągi z Roberta Chestera, Williama Browna, Clare'a i Saint Saënsa. Wiersze Hardy'ego i strona z „Białego pawia“ wyróżniają się nawet w tym wybitnym towarzystwie.

Druga antologia, która się pojawiła mniej więcej w tym samym czasie, to „Those Happy Day“ Szczęśliwe dni to dzieciństwo, a autor H. K. Cook. W rozdziałach zatytułowanych „Pokój dziecinny“, „Klasa szkolna“, „Zabawki, gry, sporty“ zostały zebrane cytaty, głównie prozą, na tematy związane z dzieciństwem, połączone własnym komentarzem autora. W rezultacie nie jest to ani całkowita monografia, ani nadająca się do użytku antologia. Tym bardziej, że jej ilustrator opracował swe rysunki nie o dzieciach, ale dla dzieci. Jest tam jednak wiele ciekawego i instruktywnego materiału wśród cytat. Niektóre są nawet zabawne, jak np. ta o wielkim Gladstonie. Twierdził on mianowicie, iż pamięta, jak leżąc w kołysce widział swą piastunkę pociągającą z flaszki wódkę i jak się w myśli odgrażał, że opowie to swej mamie, kiedy tylko będzie na tyle dorosły, aby móc to wypowiedzieć słowami.

TERAPIA ARTYSTYCZNA

W wydawnictwie Allena i Unwina ukazała się nader interesująca książka „Art versus illness“ („Sztuka przeciw chorobie“), której autorem jest niejaki mr. Adrian Hill. Nie jest to pisarz i jego opowiadanie nie jest dobrze skonstruowane; nie jest on również lekarzem — podaje więc zebrany przez siebie materiał bez naukowej precyzji. Ale uczynił on pewne odkrycie i pragnie pokazać jego wartość przede wszystkim pomiędzy swymi kolegami pacjentami, a kiedy sam został uleczony, głosi słowo nowej nauki wśród innych pacjentów, atakując zbytnią sztywność praktyki szpitalnej, przekonując poważnych członków zawodowej medycyny i wspomagając współpracę komitetu brytyjskiego Czerwonego Krzyża.

Przed ośmiu laty mr. Hill, zawodowy i wyróżniający się artysta, musiał przebywać przez długi okres w sanatorium i w ciągu rekonwalescencji palce jego poczuły dziwny pociąg do ołówka i papieru oraz innych narzędzi niezbędnych przy rysowaniu czy malowaniu. W szczególności czuł on potrzebę wyrażania w formie plastycznej obrazów, które przebiegały mu przez głowę i które były symptomatyczne dla jego choroby. Lekarz patrzył na to przychylnie, mr. Hill zaczął rysować z wyraźnie dodatnimi skutkami dla stanu swego umysłu i całości organizmu.

Terapia polegająca na zajęciu się jakąś pospolitą pracą jest rzeczą łatwą do przeprowadzenia, natomiast terapia artystyczna, to rzecz trudniejsza, bo w większości wypadków musi nastąpić początkowa ekshibicja, aby się przezwyciężyć. Większość pacjentów będzie protestowała, że nie potrafi rysować. Tu najważniejszą rzeczą jest stosunek do pacjenta, metoda, którą autor sobie wypracował. Jest to technika dobrego artysty, który zamierza wyzwolić twórczą energię zahamowanego w rozwoju dziecka. Wiele tu znaczy pełne inspiracji zaufanie.

Ale to nie wyczerpuje wszystkich środków terapii artystycznej mr. Hilla. Próbował on też leczyć przy pomocy oceny sztuki. Opracował trzy sposoby postępowania: pokazy przy pomocy latarni magicznej, prywatne rozmowy ilustrowane kolorowymi reprodukcjami i obrazkowymi kartkami pocztowymi. Zawiesza on w pokojach pacjentów w ruchomych ramach zgrupowania reprodukcji, aby w każdej chwili mogli oni kontemplować wyobraźniowe koncepcje wielkich artystów. Daje to wyraźne rezultaty terapeutyczne. Dr Geoffrey Marshall w przedmowie do tej książki wyraża nadzieję, że „doprowadzi to do zorganizowania dzieła Hilla na większą skalę, ponieważ metoda jego umożliwia opanowanie choroby i zapobieżenie nieszczęśliwym wypadkom“. Sam autor widzi w przyszłości każdy szpital i sanatorium zaopatrzone w bibliotekę reprodukcji, kart pocztowych i książek traktujących o sztuce. Reprodukcje winny być zmieniane w pokojach pacjentów jak bielizna pościelowa.

IDEA „RÓWNOWAGI SIŁ“

Idea równowagi sił w Europie nie opuściła Anglików i dzisiaj, chociaż od momentu, kiedy to po raz pierwszy ukazało się sformułowanie „balance of powers“ upłynęło tyle czasu i tyle rzeczy uległo głębokim przemianom. Widocznie nie są one tak zasadnicze jak nam się zdaje i mimo różnych ideologicznych burz, które przewiały w dziewiętnastym i dwudziestym stuleciu nad Europą, nie tak do głębi wywracające polityczny porządek tej części świata. Przynajmniej, kiedy rzecz jest oceniana z wyspy angielskej.

Właśnie ukazała się tam książka Petera Matthewsa pod tytułem „European Balance“. Jest on zdaniem prasy angielskiej autorem doskonale poinformowanym, wyjątkowo opanowanym i tak bezstronnym, jak tylko może nim być brytyjski publicysta. Nigdy nie podnosi głosu, a jego osądy są tym bardziej uderzające, że zawdzięczamy je wystudiowanemu umiarkowaniu. Matthews w czasie wojny był wykładowcą w wojsku. Tyle o nim jego ojczysta prasa.

Sama praca rozpada się na dwie części, z których pierwsza omawia hegemonię Niemiec, druga — Rosji. Aczkolwiek Niemcy zostali w pierwszej wojnie światowej rozbici, należy pamiętać, że główne źródła ich siły pozostały nienaruszone. Ich aparat przemysłowy został nieuszkodzony, terytorium niesplądrowane, ich wola potęgi zasadniczo bez uszczerbku. Gdyby wielka koalicja pozostała nadal, Niemcy nie podnieśliby nigdy głowy, ale przecież koalicje zawsze rozpadały się po osiągnięciu bezpośredniego celu, dla którego się zawiązywały. Że Rosja w 1917 roku została wycofana z gry i że Stany Zjednoczone zdecydowały się pozostawić Europę, aby warzyła się we własnym sosie, było to dla Anglii niepowodzeniem, ale jeszcze nie klęską; dopiero stało się to w następnych latach, kiedy porobili Anglicy tyle fałszywych kroków co Francja. Gdy Francja bowiem chce Niemiec słabych, Anglia usiłuje połączyć ich słabość militarną z przemysłową odbudową. Oczywiście koncepcja ta prowadzi do szybkiego rozkwitu przemysłowego, który najpierw w tajemnicy, a potem już bez osłonek pozwolił przeprowadzić zbrojenia, czyniąc Niemcy w ciągu niewielu lat mocniejszymi, aniżeli były kiedykolwiek.

Ostrzeżenia Focha nie były dyktowane francuskim imperializmem, jak sądzono w Anglii; we Francji widziano niebezpieczeństwo niemieckie wcześniej i jaśniej, ale też mało co robiono, aby go uniknąć. Linia Maginota była smutną farsą. Od zajęcia Nadrenii spóźniła się Francja na autobus, jak głosiło popularne wówczas powiedzenie. Zdaniem Matthewsa był to zwrotny punkt w latach międzywojennych, który zrewolucjonizował całą dyplomatyczno-militarną sytuację w Europie. Hitler miał wtedy w ręku wszystkie karty i zdawał sobie z tego sprawę. Każdą pokojową politykę uważał za oznakę słabości. Ta jego postawa wywołała kontrakcję w formie defensywnej koalicji, zwanej „zbiorowym bezpieczeństwem“. Według autora formuła ta nie jest niczym innym, jak tylko rozwinięciem starej angielskiej zasady „równowagi sił“. Próbowała tę rzecz zmontować Francja, szczególnie po zagarnięciu przez Hitlera Austrii i Czechosłowacji w 1939 r., ale nie mogła porozumieć się z Rosją.

Najtrudniej autor daje sobie radę z opiniami na temat Rosji. Unika on zarówno pochlebstw jak też inwektyw. Jest on głęboko poruszony ciągle wzrastającą siłą Rosji i zdaje sobie sprawę, że współpraca z nią jest sprawą zasadniczą. Upokarzające wyłączenie Rosji z rozmów monachijskich pchnęło ją do krótkotrwałego porozumienia z Hitlerem i zdaniem autora, było lekcją dla Anglików, że szaleństwem jest próba załatwiania spraw spornych bez konsultacji ze Związkiem Radzieckim. Autor jest jednak szczególnie świadomy przepaści ideologicznej pomiędzy Rosją a zachodnimi demokracjami.

Prasa angielska wyraża zrozumienie dla potrzeby poczucia własnego bezpieczeństwa Rosji, a sam autor wyraża opinię, że zwycięzcy w tej wojnie będą rozporządzali dostateczną kontrolą, aby uniknąć na przyszłość jeszcze większej katastrofy.

sfl

Czas — to pieniądz

Od dawna nosiłem się z zamiarem napisania erystyki czyli „sztuki polemizowania". Dyskusje są — jak ogólnie wiadomo — rzeczą nader przyjemną. Niestety, zajmują one nazbyt wiele czasu i miejsca. Dla zaoszczędzenia obydwu postanowiłem sporządzić klucz lub raczej spis najczęściej używanych chwytów polemicznych, zaopatrzonych w liczby porządkowe oraz sposób użycia. W ten sposób, zamiast zbijać zdanie przeciwnika lub obsypywać go obelgami, będziemy przesyłać sobie nawzajem numerki. Starożytni Grecy, z nowożytnych zaś Schopenhauer, mimo iż zajmowali się erystyką, nie mogli jednak uwzględnić szeregu wynalezionych dopiero w latach 1945—46, w kraju, Polską zwanym, chwytów. Bezwzględna wyższość mego klucza polega na tym, iż obejmuje on i te najnowsze odkrycia.

I. METODY ATAKU

1. Chwyt „łańcuchowy"

Znany już w średniowieczu, służy do wykazania rzekomej tożsamości dwu zupełnie odmiennych pojęć. Dokonywa się tego za pomocą szeregu nieznacznych przesunięć logicznych, które w końcu doprowadzają do zidentyfikowania obydwu. Przykład średniowieczny: „Kto dobrze pije, dobrze śpi. Kto dobrze śpi, nie grzeszy. Kto nie grzeszy, jest święty. Zatem — kto dobrze pije jest święty". Przykład nowożytny: pragniemy dowieść, że freudyzm prowadzi do faszyzmu. Zaczynamy: freudyzm to podświadomość, podświadomość — to instynkt, instynkt — to krew, krew — to rasa, rasa — to rasizm, rasizm — to hitleryzm, hitleryzm — to Oświęcim. I oto Bogu ducha winny psychoanalityk zaawansował na esesowca z Oświęcimia. Niespodziewana kariera! W obecnej chwili chwyt ten służy do sprowadzania jakiegokolwiek poglądu do faszyzmu. Jest zresztą bronią obosieczną. Można nim zadawać ciosy z lewa na prawo lub z prawa na lewo. Tak np. pewien niedoświadczony publicysta oświadczył ostatnio na łamach „Kuźnicy", że „obiektywizm w gruncie rzeczy nie istnieje". Puszczamy w ruch maszynkę: jeśli obiektywizm nie istnieje, nie ma prawdy obiektywnej; jeśli nie ma prawdy obiektywnej, rzeczowa dyskusja jest niemożliwa (bo o czym tu przekonywać?); jeśli rzeczowa dyskusja jest niemożliwa, decyduje prawo silniejszego; jeśli decyduje prawo silniejszego, to — znowu niestety faszyzm.

2. Chwyt insynuacyjny

Podobny do poprzedniego, lecz bardziej bezceremonialny. Bez stopni pośrednich insynuuje przeciwnikowi coś, czego on nigdy nie powiedział. Oparty na słusznym poniekąd przekonaniu, że publiczność i tak nie wie dokładnie, o co chodzi.

3. Chwyt „przyczepkowy"

a) Używany w celu „wykańczania" przeciwnika, z którym ma się osobiste zatargi. Tak np, krytykując jego pracę, ignoruje się absolutnie jej treść zasadniczą, natomiast atakuje się szczegóły, najlepiej wyrwane zdania. Jeżeli ktoś napisze dwutomowe dzieło o Mickiewiczu, należy wyśmiać je, gdyż na str. 687 używa słowa „kartofla" zamiast „kartofel":

b) Można się również przyczepiać do cytatów i stawiać jako kapitalny zarzut, że ktoś nie doprowadził przytoczonego zdania do kropki.

4. Chwyt boczny czyli „palcem w oko"

Jest on ofensywno-defensywny. Zaleca się wówczas, gdy nie ma żadnych innych argumentów — nawet fałszywych — pod ręką. Nie odpowiadając na zarzuty przeciwnika, atakuje się go z innej strony, nic z właściwym tematem nie mającej wspólnego. Przypomina to dwóch walczących na ringu bokserów, z których jeden wetknąłby nagle drugiemu palec w oko. Chwyt bardzo skuteczny!

5. Chwyt „z głupia frant"

a) Należy udawać, że się nie wie, o co chodzi, przy czym wskazane jest robienie miny jak najbardziej naiwnej. Po rosyjsku nazywa się to „waliat' duraka". Tak np. w „Życiu Literackim" (nr 1—2) p. Edward Jastrząb, pokpiwając z marxizmu, pyta z głupia frant, „czyim interesom klasowym wysługiwał się Mojżesz, ogłaszając ludowi żydowskiemu Dekalog", udając, że nie wie, co to jest społeczeństwo patriarchalne i bezklasowe (a wie doskonale).

W tymże artykule pyta złośliwie, „czy mamy prawo — jak tego chce marxizm — uznać, nie narażając się na oczywistą śmieszność, że wszyscy twórcy religii... byli narzędziami możnowładców i grup panujących, które poczynania ich finansowały, aby zwiększyć stopień uległości warstw wyzyskiwanych", chcąc w nas wmówić, że nic nie słyszał o skomplikowanych zależnościach między ekonomiczną podbudową a nadbudową ideologiczną, jaką zakłada marxizm.

b) Należy udawać, że się nie wyczuwa tonu utworu i przyjmować to, co zostało powiedziane — żartobliwie, na serio i odwrotnie.

6. Chwyt „za słowo"

Stosowany dla zaciemnienia dyskusji. Jakkolwiek przeciwnik ma na myśli dokładnie to samo co my, używamy rozmyślnie, celem pognębienia go, odmiennej terminologii. Zdarza się wówczas, że dwaj antagoniści twierdzą dokładnie to samo, tylko że w innym czasie i w różnych wyrazach.

7. Wyzwiska

Chwyt najbardziej zalecany. Nie argumentować. Walić pałką. Dobrze widziane są zwłaszcza epitety „głupiec", „cham", „mętniak", „brednia", „nonsens", „mam cię w pięcie". Na takie dictum acerbum przeciwnik z pewnością nic nie odpowie, zwłaszcza, jeśli przeszedł normalne wychowanie.

II. METODY DOWODZENIA

1. Chwyt „workowy" (czyli „quaternio terminorum")

Chcąc wykazać prawdziwość i ogólne zastosowanie lansowanego przez się pojęcia, używa się go na początku dowodu w formie wąskiej i ścisłej, by je pod koniec tak niepostrzeżenie rozszerzyć, aż obejmie ono wszystko, co się komu żywnie podoba, nie ma już jednak nic wspólnego ze swym poprzednim znaczeniem. Tak np. freudyzm usiłuje wyprowadzić wszystkie (lub większość) objawów psychicznych z instynktu płciowego. Rozszerza jednak tak to pojęcie, iż w końcu obejmuje ono dosłownie wszystko, nawet ssanie palca.

Podobnie w dyskusji o realizmie, jaka toczyła się ostatnio, zwolennicy realizmu dowodzili, iż wszyscy znakomici pisarze przeszłości byli realistami (miał nim być nawet absurdalista i fantasta Rabelais). Mówiąc natomiast o pisarzach współczesnych, stosowali to pojęcie w sensie znacznie węższym, odrzucając bezlitośnie wszystkich absurdalistów i fantastów, a za realistę uważając tylko jednego Malraux. (Okazało się jednak, że i on nim nie jest, odkąd przeszedł do obozu de Gaulle'a). Zwolennicy psychologizmu, odwrotnie, dowodzili, iż wszyscy znakomici pisarze wszech czasów są psychologistami, m. in. i wyżej wzmiankowany Malraux. W pierwszym wypadku — realizm, w drugim psychologizm stały się workami pojęciowymi, do których każdy pchał, co popadło. Stosowanie tego chwytu zaleca się, ilekroć chodzi o dotworzenie dla głoszonych przez się poglądów świetnej paranteli.

2. Chwyt Münchhausena czyli „petitio principii"

Zakłada się jako pewnik to, czego się nie miało właśnie dowieść. Przypomina to barona Münchhausena, który wyciągał się za własny warkocz z błota. Chwyt stosowany m. in. przez krytyków uprawiających tzw. wulgarny socjologizm. Zamiast na podstawie analizy dzieła wykazać, że dany pisarz reprezentuje ideologię określonej warstwy społecznej, wychodzi się z tego założenia jako pewnika i na jego podstawie bada się dzieło.

* * *

Nie sądzę, aby przedstawiony przeze mnie spis był kompletny i postaram się w przyszłości uzupełnić go na podstawie dalszych doświadczeń. Tuszę, iż koledzy-literaci będą mi wdzięczni za ułatwienie im skomplikowanych nieraz operacyj dialektycznych, redaktorzy zaś — za uwolnienie ich pism od obciążającego je materiału. Obawiam się jednak, czy wynalezienie tej maszynki nie wywoła nowej fali bezrobocia wśród polemistów. Poniżej cytuję pierwszy przykład jej praktycznego zastosowania:

Odpowiedź Adamowi Ważykowi:

Posądzenie o freudyzm = I, 2 + I, 6, gdyż „cecha naturalna i mimowolna", o której pisałem, nie ma nic wspólnego z „podświadomością", natomiast identyczna jest z „niezamierzonym sensem dzieła", o którym mówi sam Ważyk.

Obawa zaś Ważyka przed freudyzmem wywodzi się z przyczyn, wymienionych pod I, 1.

Zarzut o Platona = I, 3, a.

Zarzut o Engelsa = I, 3, b, gdyż pełny tekst zdania dowodzi dokładnie tego samego, co cytowany przeze mnie passus.

Zarzut o pastysz z Leśmiana = I, 5, b.

Wywody Ważyka o Norwidzie = II, 2.

Reszta = I, 6.

Artur Sandauer

PRZEGLĄD PRASY

Adam Schaff pisząc w „Kuźnicy" o powstaniu we Francji ruchu nowoencyklopedycznego, skupiającego wszystkich myślicieli i artystów, którzy za podstawę odnowy intelektualnej przyjmują racjonalizm myśli i humanistyczność wyobraźni, podniósł konieczność podobnego „zrzeszenia" w Polsce. Omawiając czasopisma ruchu („Rennaissance" i „Pensée") wskazał na brak w Polsce pisma specjalnego, poświęconego pogłębianiu problemów nauki i sztuki, pisma, które byłoby organem postępu i szerzyło wśród inteligencji potrzebę wyrzeczenia się nałogów myślenia w sposób nienaukowy i odczuwania prymitywnego.

Pisma takiego nie ma, nie zanosi się na to, by mogło szybko powstać. Tym bardziej na pismach istniejących, reprezentujących ideologię postępu społecznego, ciąży obowiązek rzetelności i obiektywizmu przede wszystkim.

Podział społeczeństwa na dwa obozy jest dzisiaj zasadniczy. Nie przypadek decyduje o przynależności do jednego czy drugiego. Przyzwyczajenie do zamyślań nad wieczną zagadką życia skłania nie tylko do podporządkowania umysłu mitowi religijnemu, ale również do wyboru partii politycznej. Przeciwstawienie „Tygodnik Powszechny" — „Kuźnica", to przeciwstawienie domysłu — prawdzie, emocji — metodzie naukowej, bierności kulturalnej — nowoczesności.

W umysłach wielu, wskutek długotrwałego niewietrzenia, pokutuje jeszcze przesąd, że marksizm to minimalizm kulturalny. Niewielu wie, a jeszcze większa liczba nie chce wiedzieć, że nauka w ZSRR wdarła się na szczyty nietknięte jeszcze ludzkim rozumem, że np. radziecka krytyka literacka posiada osiągnięcia niezwykle celne. Wielu nie zdaje sobie sprawy z faktu, że we Francji marksizm lub jego pobliże za ideową podstawę aktywności naukowej i artystycznej przyjęli twórcy tej miary, co Joliot, Langevin, Eluard, Picasso. I dlatego u nas pierwszym obowiązkiem pisma będącego organem ideologii marksistowskiej jest ukazywanie perspektyw naukowych i artystycznych tej ideologii, oraz zainteresowanie, w sensie najbardziej obszernym, marksizmem, jego metodą, artystów i uczonych ambitnych i niezależnych.

Obowiązki te przede wszystkim ciążą na „Kuźnicy". „Kuźnica" perspektywy te ukazała zresztą. W numerze 4—5 (z roku ubiegłego) tego pisma ukazały się wypowiedzi **A. B. Dobrowolskiego, Zofii Nałkowskiej** i **Stefana Żółkiewskiego**, które wyznaczyły kierunek działania. Dla pisarza, dla poety poszukującego nowych form wzruszenia, cóż może być bardziej pociągającego w ideologii, jak przyznanie mu prawa do tych poszukiwań! Sprawy sztuki otrzymują przez to wielki wymiar społeczny. Dla każdego najważniejszym argumentem ideologicznym jest właśnie **wymiar** programu. „Kuźnica" **ukazała** zarys programu **maksymalnego.**

Lecz tygodnik łódzki nie ustrzegł się pomyłek. Gdy porte-parole **(ph.)** „Kuźnicy" lekceważy zagadnienia tak ważne dla każdego artysty jak sprawy techniki i rzemiosła, które uprawia, to swoim osobistym poglądem obciąża pismo. A już w zdumienie najwyższe wprawia sąd, który można by zrozumieć jako żądanie obniżenia poziomu. Kiedy profesor Bujak domagał się w „Tygodniku Powszechnym" ograniczenia zakresu nauczania na wsi — było to zrozumiałe. Kiedy natomiast porte-parole „Kuźnicy" uważa „Przekrój" za reprezentatywne polskie pismo kulturalne — budzi niepokój.

„Przekrój" jest pismem dobrym, takim, jakiego przed wojną w Polsce nie było. W sposób kulturalny bawi, informuje, a nawet poucza. Krzywdą natomiast dla redakcji tego pożytecznego i mającego określony sens społeczny pisma jest przypisywanie jej ambicji, jakich nie posiada. Krzywdą, gdyż ocena hiperboliczna przesłania istotne ambicje i prawdziwe zasługi „Przekroju". Docierając tam, gdzie nie trafi pismo innego typu, „Przekrój" przemyci problematykę społeczną i zmusi do zastanowienia się tych, od których zależy np. aprowizacja kraju. Artykuł **Jerzego Zagórskiego** o krzywdzie polskich dzieci, krzywdzie wołającej o pomstę do nieba, wierzymy, spowoduje poprawę skandalicznych stosunków. Pomyśleć: w kraju o największych ofiarach wojennych, o sześciomilionowym ubytku ludności wymordowanej, w kraju o zniszczonej jak nigdzie kulturze, nikt nie zwrócił dotychczas uwagi na to, od czego przyszłość przede wszystkim zależy. Żaden naród na świecie nie jest tak krótkowzroczny, nigdzie na całym świecie dziecko nie jest tak pokrzywdzone. Pomyśleć: dzienny przydział żywności dla dziecka nie przekracza kilku kalorii. Jerzy Zagórski poruszył najbardziej istotne zagadnienie społeczne. Wszystko inne, co się pisze i mówi, jest wobec tej wypowiedzi tromtadracją. Artykuł ten nie może tylko „nie przeminąć bez echa". On nie może przeminąć bez skutków.

U nas, niestety, w wielu dziedzinach przyszłość jest jedynie tematem rozważań. Zamiast być już teraz terenem działania. Zapobiegawczego, przygotowawczego. A w dziedzinie kultury to już wyłącznie. Zniszczenie dóbr kultury, ubytek ludzi tworzących je, sześć lat bez oświaty — wszystko to wzbudziło szacunek, nawet kult dla uczonych i artystów, którzy pozostali. Ministerstwo Kultury i Sztuki wyznaczyło nawet pensje dla zasłużonych. To jest słuszne. Lecz czyż nie jeszcze słuszniejsze byłoby stworzenie stypendiów (lecz nie na papierosy tylko) dla tych, którzy wchodzą do nauki i sztuki obecnie i od których rozwoju **przyszłość** zależy. Może się bowiem zdarzyć, że wielu z tych, którzy mogliby w przyszłości otrzymać owe „pensje zasłużonych" — nie otrzyma ich, gdyż warunki **teraźniejsze** rozwijać im się nie pozwolą. Młodzi prozaicy, poeci i krytycy zamiast uprawiać swój gatunek i zamiast czytać, **przede wszystkim czytać,** muszą pisywać felietony, artykuły publicystyczne, ażeby wyżyć za wierszowe. Mogłyby np. powstać stypendia regionalne, samorządowe czy inne. Cóż za powód do przyszłej dumy, że ten czy inny pisarz to wychowanek Radomia, Kielc czy Katowic!

Albo: słychać o możliwości wyjazdu na kilkumiesięczny pobyt pisarzy za granicę. Czy dysponenci znów pod uwagę wzięli zasłużonych tylko, czy pomyślano o kimś z tych (można to ustalić bez wielkiego ryzyka), którzy zasłużonymi być mogą? Czy pomyślano, że pobyt za granicą dla pisarza młodego o świeżej, tworzącej się jeszcze indywidualności to czynnik w jego rozwoju? (Może się zdarzyć, że powstanie stały zespół wyjeżdżających, jakaś drużyna reprezentacyjna uprzywilejowanych). Jesteśmy tak wyniszczeni kulturalnie, że przede wszystkim o **rozwoju**, a dopiero potem o odpoczynku myśleć winniśmy. A przede wszystkim tak myśleć winno Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Są dziedziny sztuki, które wymagają specjalnie troskliwej opieki. W literaturze dziedziną taką jest poezja. Pozostanie już faktem budzącym zawsze zdziwienie, że każde pokolenie wydaje kilkudziesięciu chętnych, którzy wbrew temu, co im wmawia otoczenie, bezinteresownie obsługują aparaturę wyobraźni. W ustroju kapitalistycznym miejsce ich jest na marginesie społecznym. W państwie demokratycznym trud ich jest funkcją niemniej ważną od innych. U nas sprawdzianem zrozumienia tej ważności jest ukazywanie się subwencjonowanego przez państwo miesięcznika poetyckiego „Kamena". Podnosimy słuszność wyboru przez Ministerstwo Kultury i Sztuki podopiecznego.

Nie ma chyba dzisiaj w Polsce nikogo, ktoby umiejętniej i taktowniej od **Kazimierza Andrzeja Jaworskiego** ustosunkowywał się do młodych, poczynających trudzić się swym zawodem poetów. Bo „Kamena" jest właśnie pismem wychowującym. Jaworski, nie reprezentując sam określonej ideologii artystycznej, ma zrozumienie dla wszystkich. W „Kamenie" pierwsze kroki w poezji stawiać mogą i ci, którzy wrażliwość swoją ujmują w formy spokojnego klasycyzmu, jak również ci, którzy odziedziczyli ambicję i gorączkę nowatorstwa. Dla przyszłego historyka literatury „Kamena" będzie doskonałym zwierciadłem epoki. Odbijają się tam wszystkie kształty.

Poeci mają zaufanie do „Kameny". Zeszyt 2—3 zawiera utwory poetów różnych szkół i różnych generacji. Obok **Tadeusza Bocheńskiego**, red. **Jaworskiego** i **Grzegorza Timofiejewa** drukują najmłodsi: **Jacek Bocheński, Roman Bratny, Julia Hartwig, Anna Kamieńska, Roman Sadowski** i **Zbigniew Stolarek.** A obok tamtych poeci młodzi, lecz posiadający już wyraźne oblicze artystyczne: **Tadeusz Gajcy** (utwór pośmiertny), **Jan Huszcza, Jerzy Lau** i **Jan Bolesław Ożóg.**

Ponadto „Kamena" zamieszcza stale przekłady, przez co szerzy tak ważną kulturalnie znajomość współczesnej poezji zachodu i wschodu Europy. W zeszycie 2—3 znajdujemy poezję francuską (Charles Cros, Jules Supervielle i Paul Verlaine w przekładzie K. A. Jaworskiego i W. Słobodnika), rosyjską (Siergiej Jesienin w przekładzie Jaworskiego) i białoruską (Maksim Tank w przekładzie Jaworskiego i J. K. Weintrauba).

Wadą „Kameny" natomiast jest brak zainteresowania zagadnieniami z teorii sztuki i literatury nowoczesnej. A są to sprawy dla młodzieży literackiej szczególnie ważne. Młodzi poeci nie zawsze zdają sobie sprawę z prądów i kierunków ideowych, których założenia chcą realizować lub też im przeciwstawiać się. Lata okupacji, brak jawnego życia literackiego sprawiły stan pomieszania i uproszczenia. Dlatego przydałyby się artykuliki informujące o prądach, które się w poezji okresu międzywojennego uzewnętrzniały. A przede wszystkim żywa wokół nich dyskusja artystyczna.

„Kamena" jest doskonałym miejscem dla polemiki artystycznej. Tutaj mogłyby się ścierać tendencje i zapatrywania. Dotychczas tego typu prac brak, a szkoda. Z krytyki natomiast — poważne studium o Józefie Czechowiczu zamieszcza **Kazimierz Wyka.** Zastanawiające, bardzo słuszne i celowe są uwagi redaktora pisma o niepoprawności językowej wielu prac literackich (obecnie publikowanych). Uwagi te, wysoce pouczające, winny być jako stały dział kontynuowane.

„Kamena" niezależnie od opieki państwowej winna zyskać poparcie społeczeństwa czytającego. Opłaci się.

ab

Życie muzyczne w Krakowie

Piątkowy (1. III.) koncert w Filharmonii złożony z utworów Czajkowskiego, Arenskiego i Rachmaninowa, wykazał, że program jednolity, choćby najbardziej poprawny, nie zawsze daje dobre wyniki. zwłaszcza, gdy obejmuje on muzykę, która należałoby określić jako typową sztuke „wczorajszą“. Czajkowski, pod którego wpływem jest zarówno Arenski, jak i Rachmaninow, był motywem przewodnim. i przyznajmy od razu — zbyt częste wprowadzanie jego do programów koncertów filharmonicznych musi wzbudzić u kulturalnej publiczności pewien odruch sprzeciwu: jego niezaprzeczony talent, zbliżający go nieraz do poziomu największych twórców, graniczy zbyt często z trywialnością, jego łatwa i płynna inwencja melodyczna ukazuje się w szacie harmonicznej przeważnie konwencjonalnej, jego liryka przemawia tonem egotycznym, który męczy i nuży. Dla dzisiejszego słuchacza bardziej istotne wydają się jego związki z francuską i włoską operą XIX wieku, niż z wielkimi przedstawicielami szkoły rosyjskiej, których zdrową i mocną „barbarzyńskość“ zamienił na międzynarodowy konwencjonalizm. Wykonana ostatnio IV Symfonia Czajkowskiego nie posiada ani głęukazuje się w szacie harmonicznej przeważnie konstrukcji V Symfonii. Tematyka jej części pierwszej jest płytka, a liczne dłużyzny nie są usprawiedliwione walorem muzycznym. Mimo, że utwór wykonany został pod kierownictwem **Bierdiajewa,** naprawdę świetnie (trafne ujęcie, bardzo dobre brzmienie tak partii zespołowych, jak i solistycznych, zaakcentowanie kontrastów), nie można go uważać za pozycję istotnie wartościową w programie. Nie jest to muzyka, na której należy wychowywać dzisiejszą publiczność.

Podobne zastrzeżenia wzbudza muzyka Arenskiego i Rachmaninowa, pozostająca zresztą z Czajkowskim w jak najściślejszym związku ideowym. Poszukiwanie efektu, bezustanne kokietowanie słuchacza, eklektyzm środków — oto typowe, irytujące wady niewątpliwie znakomitego muzyka, jakim jest Rachmaninow. Złośliwa uwaga jednego ze znanych krytyków, że przekleństwem Rachmaninowa była fenomenalna pamięć muzyczna, którą wykazywał od wczesnego dzieciństwa i której zawdzięczał zachowanie zbyt wielkiej ilości obcych obrazów dźwiękowych, zawsze przychodzi mi na myśl, ilekroć słyszę którąś z jego większych kompozycji. **Olga Martusiewicz,** solistka wieczoru, odegrała koncert fortepianowy poprawnie, solidnie pod względem technicznym, ale bez tej szczerości, której wymaga jego bezpośredni liryzm. Fortepian brzmiał twardo (co w dużej mierze jest winą instrumentu), dźwięk miał za mało modulacji i nasycenia kolorystycznego.

W sali konserwatorium wystąpił kwartet Umińskiej (I skrzypce **Umińska,** II skrzypce **Krotkiewski,** altówka **Gonnet,** wiolonczela **Adamska)** z pięknym programem, złożonym z utworów Mozarta. Brahmsa i Bacewiczówny. Z dwóch klasyków bardziej żywy był Mozart, wiecznie młody, pełen świeżości i uroku. Był on, zdaje się, i bliższy samym wykonawcom niż kwartet Brahmsa, który wypadł mniej efektownie. Kwartet Bacewiczówny, ściśle nowoczesny w brzmieniu, zwięzły i logiczny w konstrukcji, wykazał solidne opanowanie rzemiosła kompozytorskiego, zwłaszcza w bardzo pięknie opracowanych wariacjach. W wykonaniu podnieść należy trafne ujęcie koncepcji i stylu utworów, oraz dobre warunki dźwiękowe i techniczne poszczególnych wykonawców, przede wszystkim szlachetny, kameralny styl gry Umińskiej i piękny ton Adamskiej. Rzecz inna. że te poszczególne indywidualności artystyczne nie zdołały jeszcze wtopić się bez reszty w ową całość wyższego rzędu, którą nazywamy zespołem. Nawet w samym brzmieniu dźwięku i dynamice nie ma jeszcze pełnego porozumienia. Jest jednak tyle zadatków na przyszłość. że życzenie częstszych występów jest jedynym, jakie skierowujemy pod adresem tego muzykalnego i sympatycznego zespołu.

Zamiast popularnego koncertu symfonicznego dała Filharmonia w ostatnią niedzielę audycję o charakterze kawiarnianym czy ogródkowym (dyrygował **A. Panufnik)** Fakt ten zasadniczo zwalniałby mnie od obowiązku recenzenckiego, gdyby nie to, że zjawisko takie, często się powtarzające w ostatnich czasach, stanowi zbyt groźne memento dla naszego życia muzycznego, dla Filharmonii krakowskiej w szczególności. (Okoliczność, że oprócz walców Straussa i Różyckiego znalazły się w programie także wyjątki z poważniejszych dzieł, bynajmniej nie rozgrzesza kierownictwa). I dlatego zapytam tylko: czy Ministerstwo Kultury i Sztuki w tym celu dokonało aktu upaństwowienia Filharmonii, żeby mieć jeszcze jeden lokal, który konkuruje z kawiarnią?

Stefania Łobaczewska

KRONIKA FILMOWA

„Jeden z naszych samolotów zaginął“, film produkcji angielskiej, scenariusz i reżyseria **Michael Powell i Emeryk Straßburger.**

Podobnie jak „Srebrną flotę“, tak i ten film Anglia poświęca Holandii. jako kombatantowi w wojnie, podnosi w nim bohaterstwo ludności cywilnej w walce z okupantem, jej wytrwałość, poświęcenie i precyzję roboty konspiracyjnej. Ten flirt X. Muzy może mieć znaczenie aktu wdzięczności — „zamiast kwiatów“, ale też zobowiązuje na przyszłość. W każdym razie ofiarowanie tak doskonałego dzieła jest pięknym prezentem.

Film jest rozwinięciem suchej notatki komunikatu wojennego podajacej, że... „jeden z naszych samolotów zaginął“ — widać samolot z typu latających twierdz, szybujący nad morzem i wybrzeżem i jego rozbicie się o wieżę radiową. W fabule cofamy się o kilkanaście godzin wstecz, by zobaczyć, jak do tego doszło.

Obsada bombowca złożona z 6 lotników wyrusza dla odbycia indywidualnego lotu nocnego z celem — Stuttgart, zakłady Mercedes-Benz. Postacie lotników są zarysowane szkicowo, dla widza treścią tego lotu są przede wszystkim wspaniałe, autentyczne zdjęcia nocne, technika lotu, pejzaż morza i lądu z jego ponurym szlakiem pożarów, detonacji, błysków reflektorów i smugami świetlnych pocisków Samolot trafiony, z dwoma unieruchomionymi motorami, grozi pójściem w korkociąg. Lotnicy ratują się na spadochronach, pozostawiając aparat jego losowi. Ta właśnie maszyna bez załogi ulega katastrofie, podczas gdy sześciu sympatycznych lotników ląduje na ziemi holenderskiej. Ich pierwsze zetknięcie się o brzasku w jakimś ogrodzie z dziećmi holenderskimi — należy do najpiękniejszych; uderza niezwykłą świeżością i naturalnością, jest to majstersztyk obrazka rodzajowego. Holendrzy-patrioci zaczynają sobie podawać rozbitków z rąk do rąk, byle bliżej upragnionego wybrzeża i możliwości ucieczki na wyspę. Z początku nie idzie to lotnikom łatwo. bo ich gospodarze są podejrzliwi i ostrożni, i dobrze wyegzaminują swych gości z nieba, [illegible] im uwierzą. Ale wreszcie wszyscy dostają się do portu, do niejakiej p. de Vries, której mąż zginął podobno w czasie bombardowania i dzięki temu p. de Vries, patriotce i konspiratorce, łatwiej jest udawać przyjaciółkę Niemców. Piękna i wytworna Holenderka (której mąż w rzeczywistości jest speakerem londyńskiego radia) ułatwia Anglikom wypłynięcie na morze, skąd z boi ratunkowej zabiera ich angielska kanonierka.

Dotąd słabą stroną filmu angielskiego bywało fałszywe, groteskowe potraktowanie przeciwnika — Niemców. Tutaj realizatorzy są taktowniejsi — Niemców prawie nie widać, nie mieszają się do akcji jako dramatis personae; działają raczej jako symbole, słychać tylko ich głos (np. gdy pieklą się za podsunięcie im płyt patefonowych z holenderskim hymnem narodowym) albo jako sylwetki (w bójce przed ucieczką lotników, czy wartownik na moście). Ta technika obrazowania wyszła filmowi niewątpliwie na korzyść.

Opracowanie aktorskie ról — bardzo staranne i zindywidualizowane. P de Vries (Googie Withers), lotnicy (G. Tearle, E. Jones, P. Brown i inni), postacie ze środowiska holenderskiego — wydają się być nie aktorami, lecz zaskoczonymi przez obiektyw ludźmi z prawdziwego zdarzenia.

Marian Promiński

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie wystawił sztukę Tadeusza Brezy i Stanisława Dygata pt. „Zamach“



Stanisław Dygat



Tadeusz Breza

„Dwa teatry“ Jerzego Szaniawskiego

Tytuł najnowszej sztuki Jerzego Szaniawskiego zapowiada nam już z afisza dyskursywny charakter utworu. Rzecz dzieje się w teatrze, postacie — to ludzie sceny, a wątek dramatyczny stanowi spór o dwa sposoby ekspresji: realizm „Małego Zwierciadła“ i — jak zapewne chciał autor — poetycki idealizm „Teatru Snów“. Oto więc nowa antyteza w dziedzinie dyskutowanej niedawno tak szeroko. Ale pomińmy na razie jej słuszność czy niesłuszność — jest jakaś wzruszająca, młodzieńcza ambicja w tym geście starego mistrza dramatu, który nie zawahał się dźwignąć w swej najświeższej sztuce nowych problemów, wysuniętych przez bieżący czas.

Jerzy Szaniawski bez wątpienia głęboko przeżył losy wojny, odczuł wrażliwie, ile zburzyła nie tylko miast, ale i konwencji, poglądów, przekonań. Wydaje się godne szacunku, że autor „Żeglarza“ ujrzał dziś wraz z młodym pokoleniem potrzebę rewizji wielu spraw, — i godne podziwu, że w tej rewizji nie zechciał pominąć własnego teatru. Dlatego zapewne, mimo że utwór nie najściślej łączy się z wypadkami wojny, czujemy jej obecność w sztuce Szaniawskiego, jej obecność duchową, jak w żadnym być może z dotychczas granych dramatów polskiej sceny.

Sztuka, skomponowana dość luźno, rozpoczyna się niejako wprowadzeniem, pełnym nieuświadomionych jeszcze przeczuć nadchodzącej wojny, aby w środkowej części ukazać widzowi realistyczną postawę teatru „Małe Zwierciadło“ w dwóch jednoaktówkach („Matka“ i „Powódź“), i zamknąć się poetycką wizją „Teatru Snów“: „Małe Zwierciadło“ zniszczyła wojna; na pustej, zimnej scenie zasypia stary dyrektor i we śnie przychodza doń postacie autorów i osób z ich dramatów, a także bohaterzy dramatu, który dokonała wojna. Ujmują się jakby za własnymi krzywdami, które wyrządziło im „Małe Zwierciadło“ i jego realizm, ograniczający prawdy do rzeczy widzialnych. Gdzież tęsknota, gdzież niepokój sumienia, gdzież udręki duszy? Gdzież wreszcie wszystkie wartości ponadrozumowe? — pyta ten teatr snów.

W pytaniu tym mieści się credo autora. Credo nie tylko artystyczne, ale wykraczające daleko zapewne poza deski sceny. Czy realizm „Powodzi“ — wątpi Szaniawski — jest w mocy przekazać istotny dramat duszy syna, który musiał odepchnąć starego ojca od łodzi, niosącej ratunek? Czy w „Matce“ zostało powiedziane wszystko o duszy człowieka, który cierpi przy dwóch kobietach i tęskni zapewne za trzecią? Czy realistyczne środki wyrazu mogą w ogóle oddać świat duszy ludzkiej, a ramy rozsądku czy zdołają pomieścić sferę czucia nieuchwytną dla oka i umysłu? Oto dwa teatry. Oto dwa kręgi poglądu na świat, które Szaniawskiemu wydają się sprzeczne.

Ale mimowoli i nieświadomie autor „Żeglarza“ daje sam w trzecim akcie odpowiedź na dręczace go pytanie. A właściwie ten trzeci akt daje odpowiedź we własnym imieniu, niezależnie i poza Jerzym Szaniawskim. Bo tym trzecim aktem, gdzie tłuką się jeszcze echa Maeterlincka i Młodej Polski, rządzą szczególne prawa: prawa dzieła sztuki. „Teatr Snów“ nie ostał się i uległ artystycznie lapidarnej sugestii jednoaktówek. W „Matce“, a zwłaszcza w „Powodzi“, Szaniawski porwał nas zwięzłą męskością swego pióra, w porównaniu z nimi akt trzeci rozsącza się w sentymentalnej mgle i nie pomaga mu żarliwa dialektyka autora. Szaniawski pchnął widza w odwrotnym kierunku niż pragnął: w „Powodzi“, mimo odległości tematycznej, odczuliśmy więcej prawdy o wojnie, niż w wizji krucjaty dziecięcej w teatrze snów. Dziwne bywają czasem losy zamiarów autora.

Nie ma dwóch teatrów, — myślimy po opuszczeniu sali — jest tylko jeden teatr, w którym różne a nawet skrajne elementy znajdują wspólny jednorodny wyraz, lity jak kruszec; jest to dzieło sztuki.

Teatr snów? Okazał się niepotrzebny, nie zdołał się przeciwstawić żadną antytezą prawdzie „Powodzi“, — bo jest jej częścią, jej najszlachetniejszym udziałem. Jeden ruch starych ojcowskich rąk, które syn uderzył wiosłem, ten jeden gest mówi nam wszystko: wiemy, że odtąd syn nie znajdzie spokoju, mimo że sędzia i ksiądz powiedzą mu, iż nie jest winien. Prawo aluzji, prawo niedopowiedzenia jest jednym z najgłębszych sensów dzieła sztuki, które nie może przemawiać bez reszty i zbyt dosłownie. Prócz masywu konstrukcji faktów i słów utwór artystyczny, czy to dramat czy powieść, musi rzucać cień: prócz dialektyki — musi w nim być milczenie.

Autor „Żeglarza“ niepotrzebnie więc wprowadził na scenę swe niepokoje i wątpliwości, — nie, mistrzowska siła „Powodzi“ sprawia, iż widz wolny jest od niepokojów autora, a suma prawdy w niej zawarta — wystarcza. To samo prawo działa w innym zestawieniu, które znów wskrzesza Szaniawski w ostatnim akcie sztuki, ukazując chłopców polskich, co to z motyką szli na słońce. Czy rozsądek tutaj wystarcza? — wątpi autor, — czy można tę sprawę przeciąć jednym wzruszeniem ramion nad motyką i słońcem, albo butelką w dłoni i pancerną dywizją? Ale my wiemy przecież, mógłby pomyśleć widz, że tej sprawy nie da się rozstrzygnąć tak prosto. Piszemy o tych chłopcach tak wiele i ich śmierć wydaje się nam piękna; opłakujemy daremnie stracone życia, nie tylko mury, które spalił wróg; dramat zawarty w powstaniu był dramatem nie tylko materii, lecz duszy. Nie wzbogacił więc naszej wiedzy o ich walce i śmierci ów trzeci akt „Dwóch teatrów“, w którym polegli przesuwają się w niemym proteście przeciw krzywdzie, jakiej im nie wyrzadzamy chcąc dotrzeć przyczyn ich śmierci.

Tyle refleksji, — dość ważkich, aby poruszyć widza najgłębiej — dostarcza nowa sztuka Jerzego Szaniawskiego. Powaga przeżyć autora i czar jego dialogu dają przedstawieniu w Teatrze Powszechnym cechę wybitności i wysuwają je na czoło powojennych prapremier. Zespół wykazał wielką sumę najczystszych ambicji, mimo że inscenizacja nie umiała opanować słabości wewnętrznej ostatniego aktu, który domaga się komprymacji i skrótów. Reżyser nie potrafił tu znaleźć celnego wyrazu dla poetycznej mistyki autora, i nie starając się jej unowocześnić ani ograniczyć własną koncepcją artystycznego kształtu, — uległ jej fali, popłynął z nią zbyt bezwolnie. Czy niezapomniane „Nasze miasto“ Thorntona Wildera w inscenizacji Leona Schillera nie mogłoby w tym wypadku służyć za pożyteczny wzór?

Karol Adwentowicz ukazał nam ponownie wspaniałość swego talentu w roli dyrektora „Małego Zwierciadła“. We wszystkich innych postaciach znać, jeśli nie zawsze w pełni udane osiągnięcia, to żarliwy i szlachetny w ich kierunku wysiłek.

„Dwa teatry“ dzieją się niewątpliwie w teatrze rzetelnym.

Kazimierz Brandys

Szaniawski jest już z dawna autorem o ustalonym gatunku stylu — a nawet „światopoglądu“. Jest to światopogląd na wskroś poetycki. Oparty na instynktach natury wrażliwej, skłonnej do fantazji, uogólnień, symboliki. „Szaniawszczyzna“ wywodzi się z neoromantyzmu. Poprzedzał ją w Polsce Rittner i w pewnym sensie teatr Przybyszewskiego.

Na tle dzisiejszego życia intensywnych przemian społecznych — na tle życia realnego, które przeszło właśnie „cuda“ fantastycznych przeżyć indywidualnych i zbiorowych — fantastyka Szaniawskiego jest zjawiskiem egzotycznym. Egzotyzm ten nie jest pozbawiony swoistego czaru. Że czar ten działa — nie jest zasługą „światopoglądu“ autora, lecz mistrzostwa jego formy, zwłaszcza dialogu.

„Dwa teatry“ to sztuka składana, ramowa. Otwiera ją prolog z roku 1939 pełen niedomówień, kierujący naszą domyślność w stronę życia i katastrof, które mają się zjawić. A więc jeszcze jeden, bardzo szczególny, katastrofizm. Jądrem sztuki są dwie jednoaktówki. Jedna z dawnego teatru, typowego dla Szaniawskiego. Z nastrojem konstruującym akcję. Z „wyglądaniem przez okno“, z marzeniami romantycznymi, które drzemią w każdym prostym człowieku. Druga jednoaktówka — to teatr zupełnie realistyczny, z postaciami pełnymi krwi i instynktu, z mistrzowsko zbudowaną postacią starego chłopa, który — nic więcej — chce żyć. A życie jest bezwzględne. Autor świadomie, naturalistycznie decyduje się na tragedię. Tragedia potwierdza życie? Czy tylko? Nie. W zakończeniu sztuki prosta tragedia pogłębia się analizą „sumienia“. Nie można przejść w naturalny sposób do spokoju wewnętrznego, skoro krzyk porzuconego na pastwę żywiołom ojca jest stałą, groźną pożywką dla pamięci. Każdy realizm ma swoją „resztę“. Ta reszta jest albo poezją, albo niepokojem. Szaniawski broni prawa dla „nieuporządkowanych“ spraw wewnętrznych, widzi w nich zapowiedź nie tylko sztuki, ale i myśli. Ostatni obraz — to właśnie dyskusja z realizmem. A więc jeszcze jeden, bardzo szczególny, przeciwnik postulatów dzisiejszej krytyki literackiej. Od czasu do czasu przekonywa nas czarem swojej poetyckiej „dialektyki“. Ale dyskusji w tej sztuce trochę za dużo. I dla dobra formy przedstawienia należałoby skreślić przynajmniej połowę ostatniego aktu, przedyskutować z reżyserem i aktorami jego koncepcję. Mógłby to uczynić tylko umiejętny, taktowny kierownik literacki. Ale krakowskie teatry obywają się bez tego rodzaju pośredników. Literatura sobie — teatr sobie. Nie jest to zdrowa sprawa.

Teatr Powszechny włożył jednak dużo pietyzmu w wykonanie utworu. **Adwentowicz** grał jak zwykle: wspaniałą prostotę wspomagał dobrym patosem. Doskonała była aktorka starej szkoły **Aldona Jasińska.** Można by powiedzieć, że właśnie ten typ realizmu pogłębia najlepiej istotną wartość Szaniawskiego. Przerysować jego aluzyjność, poetyczność — to znaczy oddać mu na pewno złą przysługę. Niepotrzebnie więc i świetna zresztą **Jabłonowska** i **Jabłoński** wydobywają tyle boleści ze swych głosów, niepotrzebnie przeciągają ostatnie sylaby. Perspektywa poezji jest olbrzymia, nawet gdy oddaje się ją zupełnie normalnym głosem. Dramatyczność „Powodzi“ pogłębi się realistycznym — jak u **Filusa** — dialogiem. **Obidowicz** — drugi dyrektor — powinien rolę swoją traktować, jak udział w dyskusji zasadniczej. Dyskutuje dwóch inteligentnych ludzi — nic więcej. **Zawistowski** — doskonały w prologu — w epilogu przystraja się w niesamowitość. Zupełnie niepotrzebnie. Już na początku sztuki jest dostatecznie osobliwy. W ogóle cała „mistyczna“ pompa ostatniej sceny wywołuje efekt niedobry. Powinno kształtować ją na zmianę milczenie, statyka i poważne — także bez gestów — rozumowanie aktorów, toczących dialog.

Poprawki, które proponuję reżyserii **Grywińskiej,** nie powinny przytłumić niewątpliwych zasług już osiągniętych.

Z dużej obsady wyróżnić należałoby wiele mniejszych ról, przede wszystkim: **Grywińską, Niedźwiecką, Morską, Osterwiankę, Niwińskiego. Gielniewski** lepszy, a raczej zupełnie dobry dopiero w epilogu.

Artystyczną oprawę widowiska dał **Kantor** — obok Kosińskiego i Stopki trzeci naprawdę twórczy dekorator nowego teatru. Muzyka Kluczníoka w dobrym, szlachetnym tonie. Podniosły nastrój na sali przewiercał od czasu do czasu okropny skrzyp drzwi. Czy nie ma sposobu na ludzi spóźniających się?

Stefan Otwinowski

STĄD — DOTĄD

Hanna Malewska, stale pisująca w „Tygodniku Powszechnym“, niepotrzebnie zastrzega się przed zarzutem reakcji, dając takie wyznanie wiary:

„Reakcja to chęć powrotu do tego, co było i przeminęło — nie podzielam jej z nikim. Tym bardziej z nikim nie solidaryzuję się w metodzie gwałtu, strzałów zza węgła, ani w marzeniach o „Hiszpanii“, „Wranglu“ czy „Burbonach“. Co więcej, piszę się na całkowitą trzeźwość polityczną, na solidny obrachunek sił, stopni geograficznych, dat historycznych — i wyciągnięcie z tego jak najprozaiczniejszych konsekwencyj. Choćby mało przyjemnych. Dalej piszę się na reformy społeczne, kładące kres wszelkiemu absolutnie przywilejowi i wyzyskowi. Jeżeli wyzysk był w przeszłości — słuszna całkowicie zasada, że przepadną jego owoce. Demokracja? Nie chcę, nie chcemy niczego innego i niczego ponadto“.

Malewska akceptuje konsekwencje wynikające z takich poglądów. Np. niedawno, na zebraniu nauczycieli szkół średnich, wygłaszając referat o „Powieści historycznej jako pomocy w nauce historii“ m. in. rekomendowała lekturę w szkole „Wojny i pokoju“, a Aleksego Tołstoja „Piotra I“ oceniała jako bodaj najlepszą współczesną powieść historyczną.

Zaleta wyznawania i szerzenia takich idących z postępem czasu i myśli sądów jest równie wielka jak konsternacja, którą one wywołują w szeregach starej, żelaznej gwardii. Dla niej Leona Kruczkowskiego „Kordian i cham“ wciąż jeszcze jest czerwoną, niepokojącą plamą na nieskazitelnym patriotyźmie i przeto „nie nadaje się“ oczywiście dla młodzieży.

Malewskiej nie grozi zatem zarzut reakcji ani nawet zachowawczości. Co innego już niektórym sąsiadom po piórze w „Tygodniku Powszechnym“. Ostatnio zaniepokojeni ustawą o upaństwowieniu wielkiego i po części średniego przemysłu, wydobyli oni spod gruzów imperium Mussoliniego korporacjonizm, z grubsza oskrobali go z pokostu niefortunnego naśladowcy Septimiusza Sewera i — reklamują jako najlepszy środek przeciw trustom, ale i przeciw unarodowieniu. Równocześnie inni zachwycają się Carrelem.

Czy to wytrzymuje próbę postępu?

Z racji takiego sąsiedztwa mogą wyrastać nie tyle zarzuty co zdziwienie, że jednak mówi się o harmonii... **js**

KORESPONDENCJA

O „GŁUPIM JAKUBIE“
Do redaktora „Odrodzenia“

W zamieszczonym w nr 63 „Odrodzenia“ artykule Ryszarda Matuszewskiego „W teatrach łódzkich“, znajduje się omówienie sztuki Tadeusza Rittnera „Głupi Jakub“. Autor pisze: „Jest rzeczą zdumiewającą, jak bardzo jasełkowa, zamknięta architektura dworków szlacheckich urzekła naszych scenopisarzy i pchała ich do umiejscowienia akcji swych utworów tam właśnie, gdzie nic się żywego już od dawna w Polsce nie działo“...

Na marginesie tych wywodów Matuszewskiego pozwalam sobie zauważyć, co następuje: Tadeusz Rittner był pisarzem polsko-niemieckim. Mieszkał stale we Wiedniu jako wysoki austriacki dygnitarz ministerialny, a sztuki pisał zarówno dla scen polskich jak i niemieckich. Nie wchodzę w to, w jakim języku pisał je najpierw. W każdym razie zarówno tekst polski jak niemiecki robią wrażenie oryginału. Z uwagi na to wybierał z reguły i środowisko i postaci kosmopolityczne, nie zabarwione w sposób „regionalny“. Akcja jego sztuk może się odbywać w którymkolwiek kraju ówczesnym, położonym między Renem a Wisłą, między Dunajem a Bałtykiem. Toteż w „Głupim Jakubie“ nie ma bynajmniej atmosfery polskiego „jasełkowego“ dworku szlacheckiego, chyba że się ją sztucznie sfabrykuje.

Co w tej sztuce jest polskiego? Szambelan-dziwak, mizantrop, brutalny „Gutsherr“ lub junkier pruski (tak tę rolę pojmował i grał Mieczysław Frenkiel); jego szwagier, naparzony oficer austriacki czy też niemiecki, a inne osoby? Ani Hania przecież nie jest specjalnie typem polskiej dziewczyny, ani też Jakub typem polskiego chłopca. Hania mogła żyć na każdym folwarku, przed czterdziestu laty, w Austrii, Niemczech, Czechach, Węgrzech. Nie można tedy mówić, że Rittnera urzekła atmosfera polskiego dworku, która była mu najzupełniej obojętna (on, typowy mieszczuch, pięknoduch — a zarazem biurokrata!), ani też dopatrywać się w sztuce tendencji, jakich w niej nie ma zupełnie.

Ze wszystkich znanych mi sztuk Rittnera tylko „W małym domku“ ma coś z atmosfery małego galicyjskiego miasteczka.

Zgadzam się natomiast z R. Matuszewskim, że sztuka „nie wydaje się dziś ciekawa i nie bardzo wiemy po co jest grana“.

Cieplarniane kwiaty z doby „moderny“ nie mogą żyć w tak surowym klimacie jak dzisiejsza współczesność.

Henryk Ligęza

RAFAŁ LEN
Do redaktora „Odrodzenia“

W spisie nazwisk pisarzy okresu międzywojennego w artykule moim pt. „Nie było tak źle“ („Odrodzenie“ nr 63) mylnie wydrukowano nazwisko **R. Lena** (nie Lerna).

Rafał Len (Lichtensztajn), łodzianin, prawnik z zawodu, wydał dwa zbiory opowiadań — „Młodośc za kratą“ (1934) i „Śmierć z XX okręgu“ (1935) oraz powieść — „Ludzie na schodach“ (1938).

O ile mi wiadomo, Len zginął w ghetcie warszawskim podczas okupacji.

Bolesław Dudziński (Łódź)

SPROSTOWANIE
Do redaktora „Odrodzenia“

Proszę o sprostowanie notatki, którą przeczytałem w numerze 52 „Odrodzenia“ z dnia 25 listopada 1945. pt. „Polska za granicą“ („Polski debiut dramatyczny za granicą“) — a mianowicie:

a) nie jest zgodne z prawdą, że „Pleszczyński wydał już tomik nieprzeciętnych wierszy“, bo nigdy wierszy nie pisał, i sądzę, że byłby bardzo zdziwiony czytając notatkę;

b) tekst: „Sztuka ta, po przekładzie na język angielski, wejdzie na afisz jednego z teatrów brytyjskich“ — jest oparty zapewne na plotkach lub nieścisłych informacjach autora notatki, ponieważ żadne kroki w tym celu nie zostały poczynione, co stwierdzam jako współautor sztuki „Garden Party“.

T. K. Sowicki (Londyn)

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 08079 Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“.